PRO CHRISTO
WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Prymas Polski o zasadach życia publicznego.

Wydany pod datą 23 kwietnia 1932 roku List Pasterski ks. Prymasa Kardynała A. Hlonda jest zjawiskiem niecodziennym— zarówno ze względu na temat, który omawia, tak ważny i aktualny w czasach dzisiejszych, jak i dlatego, iż w treści swojej oddaje nie fragmenty tylko, lecz całokształt omawianego zagadnienia, a forma jego i rozmaite okoliczności wskazują wyraźnie na oficjalny, uroczysty charakter tego wystąpienia.

Wprawdzie nieraz już stosunek Kościoła do Państwa omawiany był u nas w oficjalnych enuncjacjach episkopatu. Chodziło jednak zawsze o poszczególne tylko, mniej lub więcej ograniczone zagadnienia. Tym razem natomiast mamy do czynienia z ujęciem filozoficznym, z enuncjacją zasadniczą i wszechstronną, która, być może, w przyszłości stanie się podstawą, na której mają się opierać dalsze wystąpienia i oświadczenia.

Wydany w 13 lat po odzyskaniu niepodległości List ten jest dla nas, Polaków bardzo ważnym przypomnieniem, a nawet ostrzeżeniem. Dostojny Autor zastrzega się, że obca mu jest myśl krytykowania kogokolwiek i wzywa, aby nikt nie nadużywał jego słów do szerzenia nieporozumień i sporów. Nie za-

mierzamy więc wskazywać palcem na nikogo. Obowiązani jednak jesteśmy podkreślić, że porównanie wzniosłych zasad zawartych w Liście z naszą dzisiejszą polską rzeczywistością, daje, zaiste, obraz smutny i tragiczny! Przypuszczamy, iż odczuwał to boleśnie ks. Prymas i uważał, iż jednym z bardzo ważnych zadań Listu jest wskazać Narodowi właściwą drogę postępowania, aby, wydobywszy się długim i wytrwałym wysiłkiem z dotychczasowych błędów, poszedł drogą sprawiedliwości i prawdziwego postępu.

Nie zamierzamy Listu streszczać, gdyż uważamy, że każdy katolik powinien przeczytać go w całości. Ograniczymy się więc do zacytowania kilku myśli, tych, które bardziej nas uderzyły. Nie dlatego, aby inne myśli były mniej ważne... List stanowi jedną, konsekwentną, związaną w każdym fragmencie, całość i niema w niem poprostu ani jednego zbędnego zdania, ani jednego słowa, któreby nie było godne wyuczenia się na pamięć...

Oto np., w czem widzi ks. Prymas istotną przyczynę upadku autorytetu Państwa w czasach dzisiejszych:

„Państwo nie może nie uznawać w swem życiu Stwórcy, z którego woli i prawa się wywodzi, a który jest panem zarówno jednostki jak i społeczności, czyli państwo nie może być ateistyczne, nie może się rządzić, jak gdyby Boga nie było, lecz powinno Boga czcić i religję szanować...

Czy dzisiejszy światowy kryzys polityczny i to groźne załamywanie się podstaw państwowych nie są przedewszystkiem kryzysem autorytetów politycznych, którym brakło wyższej treści? Zachwiały się, bo się same poniżyły, gdy w obliczu ludów wyjałowiały z wszelkiej myśli bożej. Odbudowa autorytetów i powrót od nieładu do zdrowej państwowości zacząć się musi od uznania autorytetu bożego nad narodami i państwami."

Bardzo twardo i wyraźnie rozprawia się List Pasterski z modną obecnie i rozpowszechnioną teorją pogańską, wywodzącą się jeszcze z czasów starożytnych, a spopularyzowaną później w ujęciu Machiavella, według której t. zw. racja stanu uprawnia do popełniania czynów nieetycznych. Powiedzmy sobie szczerze: niema w chwili obecnej w Europie rządu, czy stronnictwa politycznego, któreby w pewnej mierze nie znajdowało się pod sugestją tych zasad pogańskich. Całe życie publiczne przesiąknięte jak miazmatami neopoganizmu, który roz-

winąwszy się w podatnym dla siebie okresie humanizmu i reformacji, a potem nacjonalizmu i liberalizmu, sięgnął zuchwale po władztwo nad całym światem cywilizowanym. Tym bardziej przeto zwrócić się nam trzeba do źródeł żywej prawdy, której piastunem jest Kościół. Czytamy w Liście Pasterskim:

„Państwo jest od Boga, ale nie jest Bogiem, a więc nie jest źródłem prawa obyczajowego, nie stwarza moralności ani nie ustanawia jej normy, lecz czerpie przepisy etyczne i odpowiedzialność moralną z tego samego zakonu, z którego płyną jego władza i uprawnienia. Przyrodzone prawo moralne i dekalog obowiązuje państwo w tej samej mierze, co jednostkę i rodzinę.

Państwo nie ma więc mocy uprawniania nieetycznych czynów, czyli zło nie staje się moralne i dozwolone przez to, że się go dopuszcza państwo, albo że się je popełnia z ramienia lub na rzecz państwa. Dlatego też racja stanu i dobro państwa są najwyższem prawem państwowem nie bezwzględnie, lecz w granicach i przy zachowaniu prawa Bozego. To, co w stosunku do dziesięciorga przykazań jest złem, bo niesprawiedliwością, kłamstwem, gwałtem, to pozostaje grzechem także w życiu publicznem, w monarchji, w republice, w czasie wojny i rewolucji, w okresie wyborczym, w stosunkach partyjnych. Niema pod słońcem władzy, którejby wolno było nakazywać podwładnym czyny przeciwne dekalogowi. Moralność katolicka nakazuje bronić państwa przed podstępem, intrygą, bezprawiem, ale nigdy nie uzna zbrodni za konieczność polityczną i nie uświęci żadnego nakazu niemoralnego.

Najbardziej stanowczo odrzuca też Kościół zasadę, że polityka wogóle stoi poza dziedziną praw moralnych. To niczem nieuzasadnione uroszczenie jest sprzeczne z podstawowem pojęciem o państwie, wprowadza samowolę do życia publicznego i zamienia w piekło wzniosłą instytucję państwa, stworzoną dla dobra i pomyślności ludzi.

Bo jakiemże udręczeniem stałoby się życie ludów, gdyby prawo moralne przestało obowiązywać w dziedzinie państwowej! Czy rządy, hołdujące takiej teorji, mogłyby się odwoływać do sumienia obywateli w imię jakiegoś autorytetu moralnego? Prawem stałaby się siła, bo moralna pustka w polityce prowadzi zawsze do polityki gwałtu. Dowodem tego są programy niektórych ruchów politycznych w Europie, które twierdzą, że

o prawie stanowi siła i powodzenie, że siła kwalifikuje tego, kto ma rządzić, że polityka jest walką i że do walki należy wychowywać narody. To się skończyć musi katastrofą państwowości."

Czy może dlatego, że politycy dzisiejsi tak często hołdują zasadom pogańskim, że polityka jest uważana powszechnie za zajęcie niebezpieczne i śliskie dla dobrego chrześcijanina—mamyż stronić od polityki? Nie, bynajmniej... Na końcu Listu znajdujemy wyjaśnienie:

„Kościół nie uprawia polityki, bo niej est to jego zadaniem. Ale Kościół nie zakazuje katolikom udziału w polityce, owszem, zachęca ich i wzywa do czynnego udziału w życiu państwowem. Wszak nie jest do pomyślenia, aby zwłaszcza w krajach katolickich życie publiczne miało się stać wyłączną lub niemal wyłączną dziedziną kół liberalnych i wolnomyślnych i aby ta mniejszość miała stale rządzić katolikami w duchu im obcym i przeciwnym ich najgłębszym przekonaniom. Powinni więc katolicy nietylko iść do urny, aby do ciał ustawodawczych wybierać ludzi uczciwych i o duchu katolickim, lecz powinni wchodzić do rządów, do sejmów i senatów, do administracji politycznej i samorządowej. Nie będą oni tam urzędowymi przedstawicielami Kościoła, lecz obywatelami i politykami o zasadach katolickich. Stanowczo powinien atoli katolik odmówić udziału w życiu politycznem i ustąpić ze stanowiska publicznego, gdyby jego współpraca równała się przyzwoleniu na czyny wyraźnie nieetyczne".

Zadaniem więc katolików nie jest absencja od życia publicznego. Przeciwnie, musimy pracować nad tem, aby w naszem społeczeństwie powstał i wyrobił się typ katolika społecznego, pracującego politycznie w myśl zasad katolickich, nie obawiającego się rozwiązywania w myśl tych zasad trudnych i drażliwych zagadnień życia bieżącego.

Nie można zaprzeczyć, że zadania polityka katolickiego w czasach dzisiejszych są bardzo trudne, wymagające wielkiego hartu ducha i poświęcenia. Z jednej strony pracować on musi na własną odpowiedzialność, w taki sposób, aby jego działalność, ani działalność jego stronnictwa nie angażowała Kościoła, nie wciągała autorytetu Kościoła do walk partyjnych. Pracuje więc on dla Kościoła, nie ma jednak prawa powoływać

się na oficjalnych przedstawicieli Kościoła, Kościół bowiem, jako instytucja boska jest stróżem moralności życia publicznego, jest ostoją instytucji państwa, lecz nie sprawuje władzy politycznej ani administracyjnej i nie może za akty i posunięcia tej władzy brać na siebie odpowiedzialności. Z drugiej zaś strony polityk katolicki, pracując w zgiełku i targowisku życia, nie może ani na chwilę zapominać o zasadach, ani ułatwiać sobie pracy przez przysłowiowe wypędzanie djabła przy pomocy Belzebuba.

Obowiązkiem katolika jest zwalczać wszelkie prawa niesprawiedliwe, sprzeczne z zasadami wiary i moralności. Co więcej:

„To samo tyczy się wszelkich rozporządzeń i rozkazów, zkądkolwiek pochodzą. Jeżeli nakazują zło, należy się od ich pełnienia bezwarunkowo uchylać, zgodnie z oświadczeniem św. Piotra Apostoła: „więcej trzeba słuchać Boga, aniżeli ludzi". Katolik nie powinien pod żadnym warunkiem być narzędziem grzechu i krzywdy. Prawo Boże i moralność muszą dla katolika zawsze i wszędzie być święte, nawet, gdyby je w życiu publicznem bezkarnie deptano."

Twarde warunki życia mogą wymagać czasami od katolików, zwłaszcza tych, którzy pracują w życiu publicznym — samozaparcia i poświęcenia, dochodzącego do bohaterstwa. Jak pisze ks. Prymas: *„Nie zawsze... Kościół zabiera publicznie głos, gdy się źle dzieje, bo nie zawsze zachodzi potrzeba jawnego wystąpienia, zwłaszcza, gdy stanowisko Kościoła do bieżących wypadków jest z natury rzeczy jasne. Nigdy więc nie można uważać milczenia Kościoła za przyzwolenie na niemoralne czyny"*.

Katolicy jednak, jako obywatele, wyborcy i płatnicy, posiadający prawo głosu i krytyki, obowiązani są wystąpić w odpowiedni sposób wówczas, gdy jaskrawie gwałcona jest sprawiedliwość i moralność w życiu publicznym, gdy pogwałcenie to nie jest tylko wyjątkowym wypadkiem, lecz powtarzane jest stale, jako coś integralnie tkwiącego w systemie rządzenia. Oczywiście takim rządom organizacje składające się z konsekwentnych katolików poparcia swojego udzielić nie mogą!

Na zakończenie podajemy piękne słowa, w których Dostojny Autor przedstawił wspaniałą koncepcję rządów silnych i sprawiedliwych zarazem:

Władze państwowe mają obowiązek żądać poszanowania dla sprawiedliwych praw i popierać to żądanie przewidzianemi w ustawodawstwie środkami przymusowemi. Tak zwane silne rządy są uzasadnione i dobre, o ile są sprawiedliwe. Każdy rząd bowiem powinien być sprawiedliwy i pierwszy powinien szanować słuszne prawa, nawet celować w ich przestrzeganiu. Jakaż powaga i jaka moc urasta władzy państwowej, gdy jest nie zawodzącą ostoją ładu i gdy etykę swą opiera na wiecznych podstawach moralnych, założonych pod szczęście ludzkości przez samego Stwórcę. W takiem państwie sprawdzają się słowa psalmisty: „Sprawiedliwość i pokój ucałowały się".

Zaiste, do takich rządów tęsknimy, o takie rządy modlimy się do Boga... Oprócz modlitwy, musimy jednak ofiarować także Ojczyźnie swoją pracę. Bowiem—według woli Stwórcy —jednakże swoją pracą i własnymi rękoma „snują sobie narody przędzę dziejowego żywota".

Zmierzch ustroju kapitalistycznego.

(Na marginesie współczesnego przesilenia).

II.

Ustrój kapitalistyczny jest bardzo nieharmonijnym i—jeżeli się tak można wyrazić—kryzysowym. Najskrajniejsi jego krytycy twierdzą, że właściwie ustrój ten jest dwoma po sobie następującemi kryzysami: ledwie zakończył się jeden, rozpoczął się drugi, który obecnie przeżywamy.

Pierwszy kryzys rozpoczął się równocześnie z powstaniem ustroju, gdy warsztat kapitalistyczny rozpowszechnił się—najpierw w Anglji, a potem w Niemczech, we Francji i w innych krajach Europy, gdy z chaosu okresu przejściowego wyłoniła się nowa klasa ludności: proletarjat fabryczny.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że same przeobrażenia handlowe i techniczne (odkrycia nowych lądów, rozpowszechnienie handlu i wynalazek maszyny) nie doprowadziłyby do tego kryzysu. Przyczyna jego głębsza tkwiła w dziedzinie filozoficznej i moralnej. Jak już wykazywaliśmy powyżej, od końca średniowiecza do wieku XIX dokonała się olbrzymia zmiana poglądów w dziedzinie religijnej i filozoficznej, a potem także—społe-

cznej, gospodarczej i politycznej. Zapanowała w ekonomji szkoła liberalna, oparta na założeniach materjalistycznych, wyzuta z wszelkich pojęć sprawiedliwości chrześcijańskiej, redukująca pracę ludzką do roli czynnika martwego, towaru na rynku handlowym.

Następstwem nowych poglądów na istotę i cele produkcji był niesłychany wyzysk proletarjatu fabrycznego, potworny wprost ucisk szerokich mas proletarjatu, który pozbawiony wszelkich środków obrony ze strony państwa, ciemny i rozproszkowany, nie mający prawa się organizować oddany został na łup niewoli, przypominającej czasy faraonów. Tego rodzaju ucisk musiał—rzecz oczywista — wywołać reakcję w postaci ruchów rewolucyjnych i na tem właśnie polega istota pierwszego kryzysu.

Punktem jego kulminacyjnym był t. zw. rewolucyjny rok 1848. Raz po raz zrywały się odruchy buntu przeciwko barbarzyńskim ciemięzcom kapitalistycznym. Ciemny, zrozpaczony tłum dostawał się pod wpływ najbardziej radykalnych i anarchistycznych haseł. Bardzo często robotnicy palili warsztaty i burzyli maszyny, widząc w nich rzekomą przyczynę swojej nędzy i upośledzenia. Wojsko i policja krwawo tłumiły rozruchy.

Cała Europa rozbrzmiewała odgłosem tego kryzysu gospodarczego i społecznego. Sumienie świata cywilizowanego zaczęło się budzić. Powoli zaczyna tworzyć się prąd rewizjonistyczny przeciwko panującemu wszechwładnie liberalizmowi materjalistycznemu.

Już w połowie XIX wieku zarysowywują się dwie szkoły ekonomiczno-społeczne, które przechodzą do porządku dziennego nad teorją lesseferyzmu i anarchicznej wolności, prowadzącej do wyzysku i wstrząsów rewolucyjnych i na jej miejscu próbują wznieść nowe założenia i poglądy. Pierwsza z tych szkół—to socjalizm, druga—to doktryna chrześcijańsko-społeczna.

Powstały one prawie równocześnie, obydwie były reakcją idei i nauki przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu, obydwie dążyły do znalezienia dróg, prowadzących do wybrnięcia z kryzysu—a jednak tak różne były ich założenia i wnioski! I nic dziwnego: socjalizm był reakcją idących przez ludzkość w pełnym natężeniu i energji prądów pogańskich, idea zaś chrześcijańsko-społeczna była reakcją katolicyzmu, wyrazem zewnętrznym potężnych i niezłamanych sił żywotnych, tkwiących w Kościele katolickim.

Socjalizm opierał się na tych samych założeniach filozoficznych, co liberalizm. Usuwał on Boga z życia społeczeństwa, a na Jego miejsce wznosił ołtarze bożkom pogańskim, tylko innymi niż liberalizm. Liberalizm wznosił tron dla wolności, pojętej w sposób pogański, materjalistyczny. Wolność ta była prawem użycia i nadużycia, prawem pochłaniania słabszych przez silniejszych, prawem anarchji dla jednostki i dążenia jej do bezwzględnego zysku kosztem całego społeczeństwa. Socjalizm przeciwstawił mu **równość.** Teorja Marxowska nie uznaje żadnych czynników moralnych, transcedentalnych, w życiu widzi również tylko walkę o byt, nawet tworzy teorję walki klas i materjalistycznego poglądu na dzieje. Tylko wnioski wysnuwa inne. Liberaliści są optymistami, przypuszczają, że przy pozostawieniu jednostce całkowitej swobody w dziedzinie gospodarczej -- stosunki ułożą się harmonijnie. Socjaliści natomiast, reagując przeciwko wyzyskowi wolnych ludzi „ekonomicznych", przerzucają się na przeciwny biegun i głoszą, że należy jednostkom odebrać wogóle jakąkolwiek swobodę gospodarczą, odebrać prawo własności, oddając je państwu. Tylko bowiem zapomocą wszechwładzy ekonomicznej państwa zrealizowana być może sprawiedliwość w dziedzinie ekonomiczno-społecznej.

Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że mamy już za sobą doświadczenie blisko 100-letnie, od chwili powstania pierwszych teorji socjalistycznych. Możemy stąd wyciągnąć pewne wnioski na podstawie wynikłych faktów i doświadczeń.

Na szczęście teorja socjalistyczna nigdzie nie została zrealizowana. Jeden tylko kraj usiłował od r. 1917 wrowadzić ją w życie, jak dotychczas jednakże usiłowania te doprowadziły do fatalnych rezultatów. Okazało się na przykładzie Rosji Sowieckiej, że wszechwładza państwa w dziedzinie ekonomicznej i społecznej prowadzi do jeszcze gorszego ucisku, niż potęga ekonomiczna przedsiębiorców kapitalistycznych. Sowiecka socjalistyczna republika rad jest czemś w rodzaju wielkiego więzienia, odgrodzonego chińskim murem od reszty świata, strzeżonego pilnie przez oligarchję czerwonych potentatów, panów życia i śmierci, wszechwładnych i przez nikogo niekontrolowanych depozytarjuszy majątku narodowego. Jest przytem bardzo charakterystyczne, że tego rodzaju system mógł być zaprowadzony tylko w kraju o kulturze i cywilizacji w połowie azjatyckiej, natomiast

żaden z gabinetów socjalistycznych, rządzących w Anglji, Szwecji czy innym jakimś państwie europejskim, nie próbował nawet wprowadzać w czyn zasad socjalistycznych, gdyż byłoby to widocznie fizycznem niepodobieństwem, a z punktu widzenia potrzeb ekonomicznych—nonsensem Życie przechodzi do porządku dziennego nad teorją Marxa, sami socjaliści zrewidowali już ją w bardzo szerokim zakresie.

Przechodzimy do szkoły chrześcijańsko-społecznej. Filozoficznie oparta jest ona na założeniach transcedentalnych, w produkcji widzi nietylko cele utylitarne i materjalne, lecz uznaje w życiu człowieka pewne cele i zadania wyższe, tkwiące w dziedzinie życia duchowego i moralnego, które winien realizować także na terenie życia gospodarczego. Tak więc całe życie gospodarcze i społeczne winno być podporządkowane zasadom sprawiedliwości chrześcijańskiej. Podstawy nauki te same, co w średniowieczu, tylko wnioski praktyczne dostosowane do nowych warunków życia.

Od socjalizmu i liberalizmu szkoła chrześcijańsko-społeczna różni się zasadniczo nietylko hołdowaniem Bogu i ustanowionej przez Niego moralności w życiu ekonomiczno-społecznym, lecz także innymi, bardzo charakterystycznymi znamionami. Szkoła chrz.-społeczna w tezach swoich niema niczego abstrakcyjnego, oderwanego od życia, przeciwnie czerpie wiele swoich tez z życia realnego i jego potrzeb. Zarówno socjalizm, jak i liberalizm są w założeniach swoich abstrakcyjne, nic wspólnego nie mające z wymaganiami życia praktycznego. Każdy człowiek rozsądny łatwo zrozumie, że zarówno bezwzględna wolność, jak i równość są przeciwstawnymi abstrakcjami, które w życiu gospodarczo-społecznym nie dadzą się zrealizować. Bezwzględna wolność prowadzi do anarchji i walki wszystkich przeciwko wszystkim, równość zaś może być wprowadzona tylko gwałtem, trwałe jej utrzymanie byłoby teoretycznie możliwe tylko za pomocą wszechwładzy państwa i niewoli obywateli. Widzimy więc, że na wolności ani równości nie może być oparty żaden życiowy ustrój ekonomiczny, zapewniający światu prawdziwy rozwój. Nic bardziej nie dyskredytuje liberalizmu i socjalizmu, jak ich biegunowa abstrakcyjność. Na zimnych biegunach, pełnych lodu i śniegu, nigdy życie nie zakwitnie... Powstanie takich teorji, a co najważniejsze zuchwałe i tragiczne próby ich realizo-

wania można wytłumaczyć tylko pewną aberracją umysłową owczesnego społeczeństwa, które odwróciło się od Boga i Jego praw, a na opustoszałych ołtarzach umieściło abstrakcyjną formułkę...

Cechą szkoły chrześcijańsko-społecznej jest jej życiowość i konkretność. Podstawą jej są niewzruszone zasady, hodowane w Kościele od początku Jego założenia, praktyczne zaś tezy tworzą się przez zastosowanie tych zasad w konkretnych warunkach życia. Dwie główne tezy chrześcijańsko-społeczne, głoszone od początku przez pisarzy tego kierunku, mówią:

1) Prawo własności winno być utrzymane, natomiast prawo to nie jest prawem nadużycia, musi być ograniczone dobrem społeczeństwa. Dlatego też państwo ma nietylko prawo, ale i obowiązek interwenjować na terenie życia gospodarczego. Ponieważ przeobrażenia ustrojowe wyłoniły nową klasę proletarjatu fabrycznego i dały nad nią bezwzględną przewagę właścicielom wielkich warsztatów, przeto obowiązkiem państwa jest ustanowić prawa ochronne, broniące robotników przed wyzyskiem. Jednem słowem—**ustawodawstwo socjalne.**

2) Robotnicy sami również mają prawo bronić się przed wyzyskiem zapomocą wolnej assocjacji, prawa koalicji przysługującego obywatelowi. Związki zawodowe robotnicze kierowane w myśl zasad chrześcijańskich przyczynią się walnie do usunięcia kryzysu, tworząc siłę zorganizowanych robotników, osłabiając przez to nieusprawiedliwioną przewagę ekonomiczną przedsiębiorców i wyrabiając społecznie klasę pracującą. Pojedyńcze umowy pracy zawierane między słabym ekonomicznie robotnikiem, a silnym kapitalistą należy zastąpić przez umowy zbiorowe między jednostką silną wprawdzie i potężną, mającą jednak naprzeciwko siebie kontrahenta również niesłabego, bo reprezentującego organizację złożoną z setek lub tysięcy ludzi...

* * *

Życie poszło w kierunku doktryny chrześcijańsko-społecznej.

Wiek XIX jest widownią uchwalaniu przez parlamenty ustaw socjalnych. Polityka lesseferyzmu kończy się w dziedzinie socjalnej. Państwo wydaje szereg ustaw, określających długość dnia pracy, ochraniających pracę kobiet i macierzyń-

stwo, pracę dzieci, ustanawiających ubezpieczenia od choroby, wypadków i starości. Tworzy się nowy nieznany dotychczas kodeks pracy. Równocześnie po cofnięciu zakazu tworzenia związków zawodowych, związki te tworzą się szybko, rozwijają i dochodzą z czasem do wielkiej potęgi i znaczenia.

I nietylko zwolennicy poglądów chrześcijańsko-społecznych, lecz bardzo często liberałowie i socjaliści popierają w parlamentach i w gabinetach ministerjalnych prawa i zarządzenia wypływające z tez chrześcijańsko-społecznych. Życie bowiem wymaga tych reform, a ono jest najsilniejszym superarbitrem.

Twórca socjalizmu Marx był przeciwnikiem tworzenia związków zawodowych, koncepcja bowiem ta psuła jemu prosty zarys jego planów. Robotnik — rozumował Marx — zorganizowany w zw. zawodowych polepszać będzie warunki pracy, skutkiem tego osłabną w nim tendencje rewolucyjne. Dlatego w myśl hasła: „im gorzej, tem lepiej!" przeciwstawiał się związkom. Poglądy jednak jego były nie do przyjęcia wobec żelaznych konieczności życia. Sami towarzysze jego pracy wystąpili przeciwko niemu i zaczęli tworzyć socjalistyczne związki zawodowe wbrew pierwotnej doktrynie socjalizmu.

* * *

Nastąpiło przeobrażenie pierwotnego kapitalizmu. Wszechwładny początkowo przedsiębiorca został ograniczony w swej władzy przez kodeks socjalny i związki robotnicze. Sytuacja warstw pracujących zaczęła się poprawiać. Z jednej strony ustawy socjalne, ubezpieczenia i akcja związków zawodowych dawały im, przynajmniej w niektórych krajach, coraz lepsze warunki pracy i warunki życia. Z drugiej zaś strony wzrost techniki, coraz bardziej skomplikowane maszyny wymagały od robotnika coraz większej fachowości, wyrabiając w nim równocześnie łącznie ze wzrostem oświaty i szkołą ludową — wyższy poziom kultury. Klasa proletarjatu fabrycznego zaczęła się nieco podnosić zarówno pod względem materjalnym, jak i kulturalnym. Działo się to nie we wszystkich krajach. Musimy jednak przyznać, że w niektórych, jak np. Anglja, Niemcy, Ameryka klasa robotnicza doszła na przełomie w. XIX i XX do pewnego dobrobytu i sięgała po coraz to nowe zdobycze.

Tak więc ostry kryzys społeczny, który ujawnił się od samego początku powstania ustroju kapitalistycznego, został pod

koniec XIX stulecia do pewnego stopnia zażegnany. Przyczyniła się do tego doktryna chrześcijańsko społeczna, która wskazała światu kierunki reformy, a także zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości, które ujawniły się u wielu nawet niekatolickich mężów stanu. Gotowi oni byli poświęcić głoszone przez siebie teorje materjalistyczne na ołtarzu dobra społecznego i pójść w kierunku wymagań życia.

Musimy jednak podkreślić, iż mimo tych reform tak wspaniałych i godnych podziwu — główne zręby ustroju, a co zatem idzie — główne jego wady pozostały nadal. Reformy dotyczyły bowiem stosunków między pracą a kapitałem, były one zażegnaniem doraźnego niebezpieczeństwa, wywołanego straszliwą falą wyzysku, nienawiści i rewolucji, ustępstwem na rzecz konieczności życiowych tylko w tej dziedzinie. Natomiast cały pozostały mechanizm ustroju kapitalistyczno-indywidualistycznego działał nadal, zbliżając ludzkość krok za krokiem do drugiego kryzysu.

Stefan Kaczorowski.

W okresie przygotowania do małżeństwa.

„Wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest i nic dla cielesnego celu nie istnieje" pisał Słowacki w „Genezis z ducha". Pęd do wyżyn, uduchownienie życia staje się dziś coraz bardziej obowiązkiem zdrowej moralnie części społeczeństw europejskich a więc i społeczeństwa naszego.

Na łamach pism codziennych i miesięczników toczy się prawdziwa Krucjata o obronę świętości małżeństwa, jego charakteru sakramentalnego, nierozerwalności i obowiązków wobec mającego przyjść na świat potomstwa. Jeżeli mimo to tyle jednostek wykracza przeciw tym prawom, jeżeli ogół społeczeństwa wykazuje wciąż jeszcze taki brak uświadomienia i zrozumienia ważności poruszanych kwestyj, to dlatego w przeważnej części, że wobec zagrożonej nierozerwalności związku i sprawy potomstwa na plan drugi schodzi równorzędny cel małżeństwa: wzajemna pomoc duchowa i współpraca w celu dostąpienia wiecznego zbawienia. Kto, nawet wśród t. zw. praktykują-

cych katolików, zwraca przy zaręczynach poważnie na ten moment uwagę? Kto myśli o dalszem przygotowaniu do małżeństwa, niezbędnem w każdym zawodzie i poczynaniu, zbytecznem na oko tylko przy zawieraniu małżeństw?

Praktykę odbyć trzeba w zawodzie nauczycielskim, przy studjach agronomicznych, lekarskich, prawniczych—praktykę ćwiczenia, i jakże uciążliwe, przy zawodach sportowych i doskonaleniu się w dziedzinie sztuki---do małżeństwa przystępuje się bez przygotowania, bez tego podkładu przemyślenia towarzyszącego każdemu innemu przedsięwzięciu o poważniejszym charakterze. A przecież lata młodzieńcze chłopców i dziewcząt owiane być powinny tą atmosferą dostojności związku, który ich czeka w przyszłości; pewne wytyczne w kształceniu charakteru, w urabianiu umysłu późniejsze obowiązki małżeńskie mieć winny na celu. Ślicznie ujmuje ten obowiązek przygotowania się do małżeństwa O. Plus E. J. w dwa postulaty: 1) ustrzec się 2) szlachetnieć. Zachowanie czystości i skarbu wiary świętej stanowi fundament przygotowania do stanu małżeńskiego dla młodzieńca. Tego samego żąda się naturalnie od jego przyszłej towarzyszki wraz z położeniem dużego nacisku na urobienie pewnej giętkości i podatności charakteru. Narazie, w czarownym śnie miłości odwzajemnionej przechodzi się do porządku dziennego nad temi sprawami, lecz niebawem dojdą one do głosu a dojdą tem prędzej, im poważniej choć jeden z małżonków zapatruje się na zawarty związek.

Rozbieżność, lub sprzeczność w światopoglądzie i ustosunkowaniu się do religji zmarnowały już niejednokrotnie najpiękniejsze zadatki szczęśliwego pożycia. W powieści p.t. „La barrière" (Przeszkoda") każe Renë Bazin tak przemawiać Marji Simerel do narzeczonego: „Czego pragnę przedewszystkiem, to, ażeby między nim a mną nie było dzielących nas poglądów — trzeba byśmy mieli jedną duszę.... Czy jesteś jeszcze chrześcijaninem? Czy mamy jedną i tę samą wiarę?... Wiem, że chodzisz na Mszę św. i towarzyszyłbyś do Kościoła swojej żonie.... ale, czy masz życie z wiary, tak jak ja je rozumiem?.... Byłby to dla mnie zawód nie do zniesienia, gdyby mąż mój nie umiał modlić się ze mną .... nie szukał natchnienia i podniety do najmniejszego ze swoich czynów w tej wierze, dla której cała żyję...." Wspólnota życia z wiary oto najważniejszy atut szczęśli-

wego małżeństwa, lecz tego nie nabywa się w przeddzień ani w chwili ślubu—potrzeba na to lat przygotowawczej pracy nad sobą. Amiel, poeta-moralista, powiada: „oddać najgłębsze uwarstwienia istoty własnej za mniejszą cenę niż zupełne odwzajemnienie się, czyż to nie zbeszczeszczenie”? Żąda on czystości od obojga małżonków, aby nie było między niemi niedomówień i tajemnic nietylko w chwili obecnej ale i w przeszłości. Zachowanie czystości i skarbu wiary świętej nie stanowi jednak pełni przygotowania do stanu małżeńskiego. Z myślą o przyszłym towarzyszu życia trzeba się starać o coraz większe uszlachetnienie, o coraz wyższy poziom moralny, intelektualny i duchowy. Praca ustrzeżenia się jest robotą negatywną, pierwiastek pozytywny wnosi dopiero świadome dążenie ku wyżynom. I tu znajdziemy przepiękne przykłady bardzo wysokich ideałów wśród katolickiej młodzieży francuskiej. Jan du Plessis, bohater z Dixmunde tak odpisuje rodzicom, którzy namawiają go do szukania dozgonnej towarzyszki: „..... jedyna kobieta, z którą chciałbym się ożenić, to ta, która małżeństwo ze mną będzie uważała za swój obowiązek... zdaje mi się, że jestto zaszczytem dla kobiety, gdy wznieść się może *ponad* siebie. A trzeba tego, by zostać żoną marynarza. Trzeba odwagi na to, by z góry sobie powiedzieć: będę często samotną, skazaną na różne trudności materjalne i moralne... Moim marzeniem jest, aby, żona moja każdą chwilę musiała przeżyć w obecności Bożej, wespół ze mną; pragnę by dla niej życie trudniejsze i uciążliwsze, niż dla innych kobiet, było zaszczytem”.

Tego rodzaju poglądy nie należą wcale do wyjątkowych wśród młodzieży francuskiej powojennej i u nas elita młodych tak się zapatruje, tylko kadry jej jeszcze są nieliczne.

Intelektualnie dziewczęta nasze dociągają się do najśmieszniejszych żądań przyszłych towarzyszy życia i odwrotnie, moralnie młodzież męska i żeńska hołduje bardzo wzniosłym i wysokim ideałom. Brak może najwięcej duchowego pogłębienia wskutek niedostatecznego przygotowania, wyszkolenia. W kierunku tym najwięcej zdziałać mogą Sodalicje, jako ogniska życia wewnętrznego i kuźnie nadprzyrodzonego na świat i ludzi spojrzenia. Nie zastąpią jednak pracy indywidualnej, wytężonej i wytrwałej, bo rozciągającej się na lata. Wiedział o tej konieczności współpracy naszej w wielkiem dziele udoskonalenia

jednostkowego i odrodzenia zbiorowości Zygmunt Krasiński, gdy wołał w Psalmie dobrej woli do Boga: „Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić" a kiedy w „Resurrecturis" daje wskazania proste a piękne odrodzenia moralnego, zakreśla warunkującą je pracę na długie lata:

„Bądź arcydziełem nieugiętej woli
Bądź cierpliwością—tą panią niedoli
Co gmach swój stwarza z niczego—powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki
A która *w końcu* wygrywa na wieki".

Pisząc te słowa, nie miał Krasiński na myśli związków małżeńskich a jednak mieści się w nich, jako w przebogatej kopalni głębokiej myśli i dla małżonków dyrektywa. Jeśli przygotowanie do wspólnego życia było niedostatecznem, jeśli słabą jest ideowość u jednego z małżonków, cóż uczyni drugi? Przy nieugiętej woli w sprawach zasadniczych będzie wcieleniem cierpliwości i cichego wyczekiwania. Będzie niejednokrotnie, na oko „przegraną", czyli ofiarą, stroną zwyciężoną, lecz wpatrzony w cel daleki a święty, wygra ostatecznie swoją młodą na Bogu opartą, niezmożoną trudnościami—siłą!

Celina Stoińska.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Bolszewizm w Chinach.

Czy Kwieciste Państwo Środkowe (Dżung-Chua-Guo) rzeczywiście poznało już najświeższy kwiat społecznej mądrości Europy—bolszewizm? Niestety, tak.

Po załamaniu się rewolucyjnego ruchu w Europie, szczególniej w Niemczech, roku 1923, i po nieudanym strajku powszechnym w Anglji, w 1926, utraciwszy widoki na bezpośrednie powodzenie na Zachodzie, czerwoni politycy rosyjscy zwrócili pilną uwagę na ląd azjatycki. Gdyby im się udało pozyskać dla swych idei 400-miljonową ludność Chin, i z nią wystąpić przeciwko angielskiemu imperjalizmowi oraz misjom duchownym, i konsekwentnie przeprowadzić swój plan rewolucji agrarnej, cios dla przeciwnika byłby zabójczy. Przenieśli też walkę

z imperjalizmem na grunt chiński. Jeszcze Lenin oznajmił: „Zwrócimy się do Azji, wiemy bowiem, że jedynie przez Wschód osiągniemy nasz cel na Zachodzie". Gdyby kolos chiński pewnego dnia poczuł się bolszewikiem, to skutki tego stałyby się dla całego świata nieobliczalne. Chiny składają się wszak z 28-iu prowincji, a większość ich liczniejszą ma ludność, niż takie np. Niemcy. Z tych 28 prowincji da się utworzyć 28 państw według wzoru sowieckiego, złączonych w jeden związek; jakaż to będzie potęga bolszewicka! 450 miljonów mieszkańców—to ledwie o 40 miljonów mniej, niż cała Europa!

Aby tylko chińczycy zechcieli przyjąć bolszewizm. Chińczycy właśnie oglądali się wówczas za czemś, coby im przyniosło możność wyzwolenia się z pod przemocy państw białych. Widząc, jak Rosja zrzuciła z siebie długowieczny ucisk władzy carskiej, chętnie zwrócili się do niej po środki przeciw obcemu imperjalizmowi. Słynny Sun-jat-sen, inaczej Sun-Wen (1866—1925) wychowaniec uniwersytetów angielskich w Chinach, wódz rewolucji chińskiej w r. 1911, tak wielce zainteresował się rewolucją w Rosji, że w roku 1918 przesłał Leninowi telegram z powinszowaniem powodzenia. Tylko, że Sun-jat-sen i chińczycy wzięli bolszewizm od innej strony: z narodowej raczej, niż społecznej. Traktat Wersalski sprawił wkrótce Sun Wenowi wielkie rozczarowanie.

Bolszewicy natychmiast skorzystali z okazywanej im sympatji, i przez Karachana z Malinem, w roku 1920, zręcznie wcisnęli się do Chin. Wspaniałomyślnym giestem — który obiecywali sobie w przyszłości suto powetować — unieważnili dawne nierówne traktaty z Chinami i zrzekli się koncesji na ziemi chińskiej i odszkodowań za powstanie bokserskie, co wywołało zachwyt u przywódców chińskich. Lenin posłał do Chin sekretarza swego, Malina, i nawiązał ścisły kontakt z głowami żółtej republiki, Wu-pej-fu i Sun-jat-senem.

Pierwszą sprawą Malina było zawiązać w Chinach tajemnie partję komunistyczną, i dokonał tego.

Czerwona choroba dokumentnie zaszczepiona została organizmowi chińskiemu.

Już z wielką radością trzecia międzynarodówka witała przyłączenie się Chin, gdy z dwu wielkich mężów chińskich jeden zerwał jaskrawo z zasadami komunizmu: kiedy w roku 1923

przy budowie kolei Pekin-Chankou robotnicy odmówili pracy, Wu-pej-fu przedsięwziął przeciw nim najsurowsze środki—mnóstwo ich kazał uśmiercić. Odtąd Moskwa dokładać poczęła starań, żeby drugiego, Sun-Wena, z rąk swych nie wypuścić.

Ale i Sun-Wen szedł nieco inną drogą, niż tego pragnęli bolszewicy. Rozbudził on w Chinach ruch narodowy. Wstąpili wtedy i komuniści do partji narodowej. Sun-Wen, gdy to się wykryło, nie sprzeciwiał się. Wreszcie dokonał dzieła niezmiernej dla nowych Chin doniosłości: założył w roku 1923 wielką radę narodową, słynny Guomindan (Kuomin-tang). Stało się to nieinaczej, jak pod auspicjami Bolszewji, po naradach z Joffem, w Szanchaju, na warunkach przymierza z Sowietami. Bolszewicy doraźny z tego zaraz zysk wyciągnęli, przyznano im bowiem, jako sprzymierzeńcom, kolej Wschodnio-chińską (mandżurską), ważną dla nich ze strategicznych powodów i dlatego, że mogli jej przez to nie oddać w ręce władców Mandżurji, pozostających pod wpływami Japonji.

Ponieważ chińskim przywódcom chodziło nie o przewrót społeczny, lecz o cele narodowe, o wyzwolenie Chin, musiał przeto komunizm w Chinach stanąć pod parasolem narodowym. Sun-Wen zamierzał w przyszłości, gdy cel zostanie osiągnięty, wyłączyć komunistów, a narazie obecność ich uważał za pożyteczną dla sprawy, wnosili bowiem wypróbowane, skuteczne metody walki. Czy nie znał duszy bolszewickiej, czy też tak wielce był naiwny, dość że miał nadzieję zwrócić kiedyś komunistów na drogę narodową.

Wysłał do Moskwy Dżan-kaj-szy (Czan-kai szek) dla studjowania bolszewickich urządzeń. Ten wrócił zachwycony. Wespół z Borodinem zabrali się, w roku 1923 do przekształcania Guomindanu na modłę rosyjską: wypadło przedewszystkiem usunąć niekarność, biurokratyzm, awanturniczość, i wyrobić sobie wpływ na lud. W Moskwie założono szkołę agitatorską dla chińczyków. Wszystkie poselstwa sowieckie w Chinach służyły dla prowadzenia propagandy. Ludowi kładziono w głowę przedewszystkiem, że idea narodowa wymaga uwolnienia się od kapitalizmu i militaryzmu państw obcych.

W roku 1924 zawarł Sun-Wen formalny sojusz z Sowietami. Na kongresie Guomindanu, w tymże roku, pomimo sprzeciwu członków starszych, przyjął do narodowego związku wielu

komunistów, z warunkiem, że powstrzymają się od machinacji komunistycznych i pracować będą jedynie dla narodowej rewolucji.

Jednocześnie organizował chińską siłę zbrojną. W latach 1922-3 posłał po instruktorów do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Anglji i Niemiec. Okazało się to bezskutecznem, i w końcu założona przez niego w Wanpoa akademja wojskowa otrzymała kierownictwo rosyjskie. Dyrektorem jej został Dżan-wajszy, z doradcami rosyjskimi i zasiłkami materjalnymi z Bolszewji. Studentów chińskich słano do Moskwy, a prócz tego dawano im przeszkolenie rewolucyjne u bolszewików w stronach bliższych: we Władywostoku, Chabarowsku i w Chinach. Wychodzili stamtąd agitatorzy krajowi.

Pod sztandarem narodowym bolszewizm coraz dalej rozciągał swe panowanie w Chinach. Do szczytu doszedł w latach 1924-5. Guomindang wówczas kierował się jego wskazówkami, a imię Lenina głośnem się stało na Wschodzie.

Lecz zaraz po tym rozkwicie odwraca się dla bolszewizmu w Chinach karta. Uświadomieni członkowie związku narodowego, niezadowoleni z obecności wśród nich komunistów, uchwalili na kongresie w Pekinie usunąć ich ze związku. Umarł w roku 1925 Sun-jat-sen. Przywódcą młodych Chin został po nim Dżan-kaj-szek. Usiłował on bronić komunistów, przypominając, że wyzwolenie Chin wiąże się z rewolucją światową; z Borodinem nadto łączyły go związki osobistej przyjaźni, zresztą partję komunistyczną uważał za organizację pomocniczą, i ważniejszych urzędów nie powierzał komunistom.

Na drugim kongresie narodowym, w roku 1926, postanowiono, że komuniści nie będą kierowali w związku, że w komitetach i radach nie będzie zasiadać ich więcej nad 1/3. Jeszcze tegoż roku w wojnach z północą rosyjski doradca, Galens, występował w sztabie. Ale już dawni przyjaciele sowieccy zaczęli przeciwdziałać Dżan-kaj-szekowi, i Borodin przestał bronić go wobec Moskwy. Wreszcie nastąpiło zerwanie. Po rozruchach, z udziałem komunistów, po telegraficznej instrukcji Stalina do Borodina, Guomindan zerwał z komunizmem. Akt ten przypieczętowany został krwawą rzezią tysięcy strajkujących robotników w Szanchaju, w kwietniu roku 1927, z użyciem środków najbrutalniejszych.

Trudno o bardziej bezprzykładną niewierność, niż ta zmiana przywódcy Chin w stosunku do bolszewickich przyjaciół, ale bo Dżan-kaj-szy zrozumiał widocznie, iż uzyskawszy od Sowietów środki do walki z imperjalizmem Zachodu, czas było zrzucić ze siebie gorsze jeszcze, nieograniczone jarzmo imperjalizmu sowieckiego, zanim zależność od Bolszewji zaszła za daleko i nim stało się zapóżno. Szybko potem potoczyły się wypadki ku coraz głębszemu rozdziałowi. Komunizm został oficjalnie zabroniony w Chinach, i do dziś azjatyckiem okrucieństwem jest ścigany. Niema prawie dnia, żeby gazety chińskie nie donosiły o straceniu komunistów, tak mężczyzn, jak kobiet, zwłaszcza po zwycięstwie wojskowem nad jaką hordą komunistyczną.

W grudniu roku 1927 Chiny urzędowo zerwały stosunki dyplomatyczne z Sowietami. Ambasada bolszewicka w Szanchaju została, po zaszłych wypadkach, zamknięta, dokumenty kompromitujące Bolszewję wystawione do oglądania, Borodin i jego żona wypędzeni z granic państwa Srodkowego.

Wrogi stosunek do sowieckiej Rosji pogłębił się jeszcze przez to, że Dżan-kaj-szy, w roku 1930, przyjął Chrzest (u metodystów). Zresztą i Sun-Wen był chrześcijanem, i w ostatnich dniach życia za chrześcijana się uznawał.

Tak tedy bolszewizm w Chinach poniósł zupełne fiasco. Stalin zamierzał oszukać chińczyków, a sam się na nich srodze oszukał. Można z całą prawdą mówić o „krachu polityki Stalina w Chinach", o Dżan-kaj-szeku, jako zwycięscy Stalina. Odtąd tłumienie komunizmu stało się pierwszorzędnem zadaniem rządów w Chinach powojennych.

Poniósłszy porażkę na polu politycznem bolszewizm nie zrzekł się przecież pretensji do zdobycia tego wielkiego kraju. Została mu robota podziemna. Trudności przy niej są niemałe.

Przedewszystkiem brak w Chinach należytego ośrodka do działania — brak proletarjatu przemysłowego; klasa robotnicza jest tam bardzo jeszcze słaba. Trzebaby pierwej sztucznie uprzemysłowić masy i wnieść walkę klas. Bolszewicy sądzą wszelako, że obecna tworząca się klasa robotnicza da im wystarczającą platformę, a reszta proletarjatu kraju pomoże do zaprowadzenia proletarjackiej dyktatury.

Następnie, znany wszystkim konserwatywny duch narodu chińskiego, przywiązanie do prastarych tradycyj, niezmiernie

utrudniają bolszewikom działanie; próby ich kolektywistycznego gospodarstwa ogniem i mieczem zniweczone zostały przez ludność.

Przeszkadza im również pewien rodzinny komunizm chińczyków, jej odwieczny ustrój patryarchalny. Posiadłość w Chinach należy do całej rodziny, głowa jej odpowiada za nią, a członkowie spojeni są wewnętrzną solidarnością, zarówno należący do rodziny jak robotnicy najemni; czują się oni jako jedno, i na starość mają niejakie zabezpieczenie. Społeczeństwo chińskie związuje swojego rodzaju ustrój feudalny. Nawet Borodin musiał czasowo głosić, że: „kapitaliści i komuniści w Chinach służą jednemu ideałowi, jednemu stanowi rzeczy".

Chińczyk lęka się, że w zetknięciu z bolszewizmem rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie, lęka się też zdziczenia w dziedzinie płciowej.

Wszelako.. wraz z postępem industrjalizacji na sposób europejski i amerykański dokonywa się proces przemiany w tych stosunkach. Gdyby chińczycy potrafili w fabrykach również zaprowadzić pewien patryarchalizm na swój sposób, stworzyliby potężny mur obronny przeciw bolszewizmowi.

Bolszewizm jest zwalczany przez rząd chiński, a jak gwałtownie, dowodzą tego cyfry straconych komunistów: w roku 1927 ukarano śmiercią 37.981; gdy cała gmina bolszewicka wpadnie w ręce wojsk rządowych, giną wtedy wszyscy od dziecka do starca. Nieszczęściem jednak jenerałowie chińscy są, jak zawsze, przekupni i taki Teng-in w Kiansi sprzedał broń czerwonym; a nieraz całe oddziały wojskowe przechodzą na ich stronę.

Wreszcie szerzeniu się bolszewizmu na przeszkodzie stoją misje katolickie. Każda stacja misyjna — to twierdza przeciw czerwonej zarazie. Dlatego to placówki katolickie najpierw padają ofiarą bolszewickiej nienawiści.

Bolszewicy zabrali się do „pracy" nad ludem chińskim z całą właściwą sobie, szatańską, metodycznością i wytrwałością. Dobierają zręcznych agitatorów, rozpoczynają od utworzenia z najpewniejszych swych zwolenników jaczejek, organizując stopniowo coraz szersze kręgi. Ośrodkami ich roboty są wielkie miasta: Kanton i Szanchaj oraz Chankou. Od Kantonu się rozpoczęło. Tu postanowiono w roku 1927 bojkotować towary an-

gielskie, co kosztowało Anglję 400 miljonów złotych, i na co musiała reagować nadesłaniem swych wojsk. Tu również kształci się jądro bolszewickiej armji pod kierunkiem rosyjskich instruktorów i czerwonych studentów chińskich. Szanchaj nadaje się do agitacji ze względu na licznych tam obcych pracodawców fabrycznych lub duchem kapitalizmu przejętych chińskich przemysłowców. Tu w roku 1925 urządzono strajk i demonstracje, przyczem padł oficer angielski. Do Pekinu, poprzednio zbiegały się nici działań bolszewickich, mianowicie do poselstwa sowieckiego. Tam niby chrześcijański jenerał Fyng-juj-sjan otrzymywał od bolszewików posiłki za usługi, aż go, w roku 1926 postarali się usunąć Dżan-kaj-szy i Wu-pej-fu z Japonią.

Bolszewicy oddziaływują na lud pod osłoną poczucia narodowego. Zakładają związki zawodowe, niby dla obrony przed cudzoziemcami. W roku 1927 liczono ich w Chinach 77%. Czerwoni studenci występują w roli aktywistów, nieraz pracują z robotnikami, żeby ich łatwiej pociągnąć. Do wykładów w szkołach wyższych wprowadza się umiejętności społeczne metodą Marxa i Engla, z kierunkiem wrogim dla chrześcijaństwa i Kościoła. Kobiety wciąga się do udziału w akcji tak dalece, że w armji powstają z nich formacje. Przywódczynią takich kadr kobiecych w Chinach była niejaka Chu-in, która po zabiciu własnego męża poszła na służbę komunistyczną, zabita w roku 1930. Zaprowadza się takie czysto w duchu bolszewickim utrzymane „dobrodziejstwa" nowej kultury, jak np. w Tung-tang-si, gdzie „ażeby dać możność dziewczętom wyjść zamąż", urządzono popisy i zapasy synów włościańskich; przeznaczone panny, wśród nich 10 córek zamordowanych większych posiadaczów, musiały sobie wybrać z pośród nich mężów, potem ująć się za rękę, złożyć pokłon wizerunkom Marksa i Lenina, i iść do zapisu; tak się zawiera małżeństwa.

Na kongres partji komunistycznej w Szanchaju, w czerwcu roku 1930, zjechało 47 delegatów od radzieckich okolic ośmiu chińskich prowincji. Postanowiono wtedy: znieść własność prywatną, odebrać kościołom i klasztorom posiadłosci i podzielić między nic lub mało posiadających, zabronić sprzedaży ziemi, znieść podatek od gruntu, zaprowadzić ośmiogodzinny dzień pracy dla dorosłych, sześciogodzinny dla nieletnich, ustalić minimum płacy. Słowem, zupełnie jak w bolszewickiej Rosji, bo

miało to być przygotowanie do I wszechświatowego zjazdu sowieckiego, który odbył się w roku 1930 11 grudnia. Rzucono wezwanie: „Robotnicy, włościanie, ludu uciskany! Nadszedł czas rewolucji. Chwieje się władza nankińską! Przeprowadzimy rewolucję agrarną, zaprowadzimy ośmiogodzinny dzień pracy, płacę wyższą, nauczanie dzieci. Przyczynimy się do wszechświatowej rewolucji!

Prasa komunistyczna, inspirowana z Moskwy, działa usilnie. Dla przywódców ruchu wydaje się kilka pism po angielsku, wydawanych w kraju i w różnych miejscach za granicą (The Pacific Worker, Australja; The far eastern monthly, Szanchaj i tp.). Później, po zdobyciu przez komunistów Czang-sza i otoczeniu Chankou, założyli komuniści własny „Czerwony sztandar". Studenci usilnie rozpowszechniają komunistyczne pisma i ulotki, nieraz całe wyprawy do wsi w tym celu urządzają.

Powstały nawet komunistyczne związki literatów, takie jak np. „Towarzystwo twórcze", oparte na psychoanalizie Freuda.

Są to wszystko rzeczy przez rząd zabronione i okrutnie ścigane, niemniej jednak istnieją i rozwijają się. Plany działania nadchodzą z Moskwy, z nawoływaniem do zrzucenia rządu, konfiskaty imperjalistycznego mienia, deportowania Dżan-kaj-szeka i t. p., i z zapewnieniem, że armja sowiecka pod dowództwem Bluchera gotowa jest wspomóc rewolucję (Izwiestja 1931, wrzesień).

Poświęcenie bolszewików przy tej robocie, osobiste i materjalne, jest nieraz godne podziwu.

Na jakiż grunt w Chinach natrafiają te wysiłki bolszewickie? W braku silnej klasy robotniczej zwrócone są do ludu włościańskiego. Ten nie różni się wiele od ludu rosyjskiego, podobnie albo jeszcze więcej wyciskany i ubogi; czem się jednak odznacza korzystnie, to większą inteligencją, dokładnością, ruchliwością i sceptycyzmem, a ustroju rodzinnego mocno się trzyma. Żeby mogły istnieć lepsze warunki bytu, nawet sobie wyobrazić nie zdoła. Obciążeni podatkami nie do zniesienia ogałacani ze zbiorów przez nieposkromione żołdactwo w ciągłych wojnach domowych, nauczyli się włościanie chińscy od wieków sami sobie radzić: organizują własną obronę, policję prywatną. Gdy która z armji chińskich, walczących na ich ziemi, zostanie przez przeciwnika rozbita, mszczą się na rozbitkach

za doznane krzywdy, za spustoszone pola i ograbione gumna, i w broń im odebraną sami się zaopatrują. Zato później wojsko krwawo im odpłaca. W ten sposób stan wojny wewnętrznej ustalił się oddawna. W środkowych i północnych Chinach utworzyły się tajne towarzystwa zbrojne, pod nazwami: Żółtej czapki, Białego lotosu, Czerwonych rzęs, Czerwonych włóczni w Honanie, Wielkiej szabli w Hupej. Składają się one z wszelkiej zbieraniny wraz z resztkami pobitych wojsk. A nie jest to zjawisko nowożytne: odkąd Chiny istnieją, istnieją takie pokątne oddziały, a więc od czterech tysięcy lat przynajmniej; do takich należą chunchuzi (Czerwone wąsy) z północnych prowincji, takie oddziały pozostały obecnie w Mandżurji po rozbiciu przez japończyków dawnej armji giryńskiej i muszą być przez nich zlikwidowane. Bolszewicy, pilnie obserwujący życie w Chinach, pokusili się chińskie towarzystwa zbrojne połączyć ze sobą i do swoich celów użyć, i częściowo im się to powiodło: takie np. Czerwone włócznie działają w Kiansi, jako armja bolszewicka.

Z nich ma bolszewizm zawiązek czerwonej armji w ludzie chińskim. Rozkazem zaś dla tej armji jest: zabijać reakcjonistów, to znaczy — właścicieli ziemskich, kupców, urzędników; wielkich posiadaczów na miejscu na śmierć się skazuje; zgóry także wyrok śmierci wydany jest na bonzów, wróżbiarzy, nierządnice, nieuleczalnych, ludzi zbytecznych (starych ponad lat 55). Bywało miejscami, że zabijano dzieci i starców jako istoty niepotrzebne a uciążliwe, jak np. w krótkotrwałej republice komunistycznej w Fukien. W mieście Tsien w Kiansi zamordowali komuniści odrazu przeszło 3000 ludzi.

Z czegóż się utrzymują bolszewickie rządy w Chinach? Czerpią dochód sowiety z konfiskowanych dóbr i z podatków od zamożnych włościan. Część zabranej ziemi zatrzymuje sobie komuna, włościanie zaś obowiązani są je obrabiać; lasy idą na własność sowietów. Podatki, ściągane z zamożnych wynoszą od 5 do 30% ich dochodu.

Chwalą się chińscy bolszewicy podniesieniem oświaty wśród ludu; we wsiach otwierają ludowe szkoły imienia Lenina, czytających liczą podobno do 50%, a z niepiśmiennych wielu wyćwiczono o tyle, że potrafią przynajmniej wypisać na ścianach propagandowe hasła.

Tępi się dawny buddyzm i zabobony, zato wszędzie roztacza się doktryny Marxa. Obrazy Marxa i Lenina wszędzie są rozwieszane. „Precz z buddyzmem—głosi bolszewickie hasło—niech żyje Marx i Lenin!“ Nowe luźne ustawy małżeńskie znalazły chętnie poparcie u młodych kobiet chińskich.

Wszystkich starają się bolszewicy organizować w związki: mężczyzn, kobiety i dzieci. Przedewszystkiem chodzi im o wytworzenie dla siebie armji. „Rewolucjonista—głoszą—musi zdobyć wyćwiczenie wojskowe, jest to bowiem bardzo ważny czynnik w zdobywaniu świata". A więc wszyscy dorośli, poniżej lat 55 muszą wstępować w szeregi czerwonej armji. Z dzieci od lat 6 do 15 tworzy się straż młodociana. Posiadają już komuniści 14 armji po 6 do 8 tysięcy ludzi w każdej. W listodadzie roku 1930 liczebność ich oceniano na przeszło 300.000, z czego 140.000 było dobrze uzbrojonych.

Do tych groźnych cyfr dołączmy jeszcze obszar terytorjów chińskich po sowiecku zorganizowanych: było ich 200 okręgów z 30 miljonami ludności. Według podanych w wiedeńskiem Rothe Fahne wiadomości z 1 stycznia roku 1931, komunistyczna część Chin obejmuje 60 miljonów ludzi.

Czerwona organizacja choć wolno lecz stale rośnie w moc. Utrzymują misjonarze z Kiansi, że wkrótce przyjdzie u nich zapewne do tego, iż cała ludność, choćby dla jakiego takiego spokoju, podda się rządom komunistycznym. Nawet nowi chrześcijanie ze strachu nieraz przystępują do nich. Szczególnie silni są komuniści na 9 terytorjach, w prowincjach Fukien, Kiansi i Hunan.

Tak tedy stary pogański smok chiński przeszkształca się w nowoczesnego czerwonego potwora bolszewickiego. Walka o Chrystusa na ziemiach Dalekiego Wschodu staje się coraz uporczywsza, już nie pogaństwo bowiem, ale zdecydowany Antychryst wystąpił i zażarcie rzucił się na ludzkość. Walczy z nim rząd chiński, walczą misjonarze. Lecz wojskowa i policyjna moc rządu nie zwalczy wroga moralnego. Duchową broń przeciw duchowi zła podnieść należy. Propagandę przewrotnych zasad bolszewickich zwalczać musimy usilniejszem nauczaniem chrześcijańskiej prawdy, chrześcijańskiej ekonomji społecznej, wyświetlaniem przewrotności bolszewickiej, pozyskiwaniem sobie ludu chińskiego przez zaspokojenie ich słusznych wyma-

gań, przez zadośćuczynienie sprawiedliwości. Bolszewicy przypuścili chińczyków do równości ze sobą i odrazu ich przez to pozyskali; że nieszczerze—to rzecz inna. Wymagania postawione przez Sun-Wena w znanych jego zasadach „potrójnego demizmu“, mianowicie: rozbudzenie poczucia narodowego, ogólna władza ludu (ze swobodą wszakże osobistą każdego) i podniesienie poziomu życia w ludzie, bynajmniej nie są sprzeczne z nauką chrześcijańską. Tak je ocenił Delegat Apostolski w Chinach, mgr. Costantini. Należy tylko poprawić niektóre ich błędy poboczne, jak teorję ewolucyjną, a dadzą się przyjąć. Bolszewicy potrafią nakręcać je do swoich zasad dla swoich przewrotnych celów. Nie pozwólmy, żeby oni więcej zdziałali dla złego, niż my dla dobrego. Umieją oni ponosić nakłady i ofiary dla sprawy piekielnej, miałażby reszta świata, chrześcijańska lub choćby tylko na chrześcijańskiem podłożu wychowana, gonić za osobistym zyskiem, jak to dziś czynią kupczący z komunistami przemysłowcy, nie chcąc wiedzieć o tem, że sami na siebie ściągają zagładę?

Z zadziwiającą znajomością rzeczy, opierając się na licznych a jaknajpewniejszych źródłach opracował kwestję bolszewizmu w Chinach o. Piotr Schmitz S.V.D., w broszurze p. t. Der Bolschewismus in China, 1931, w wydaniu Akademische Missionsverein w Wiedniu. Do niej też odsyłamy pragnących poznać szczegóły czytelników. Sprawa, zaiste, godna jest zastanowienia.

15/III 1932. *X. R. W.*

Tyniec.

Po prawym brzegu Wisły, o jakie 12 km. w górę od Krakowa, wznoszą się na 40-to metrowej skale wapiennej, wystającej jakby ściance z koryta rzeki, wspaniałe jeszcze w swojem opuszczeniu zwaliska: to Tyniec „ów gród i klasztor, o którym słyszymy od chwili, gdy Chrobry granice swego państwa rozszerzył na dziedziny Chrobacji, jedno z pierwszych ognisk oświaty i wiary chrześcijańskiej w Polsce, warownia około której toczyły się nieraz doniosłe w dziejach kraju boje, i z której jeszcze Konfederaci Barscy uczynili słynną wycieczkę na zdobycie zamku krakowskiego. Miejsce historyczne, wywołujące dalekie, chwa-

lebne wspomnienia, a samem już swem położeniem pełne romantycznego uroku i powabu"*).

Starożytności Tyńca i jego dawnego znaczenia dowodzi już sama nazwa tej miejscowości. Filologowie wywodzą ją od słowa skandynawskiego *tun*, z którem spokrewnione jest angielskie *town* i czeskie *tyn*; we wszystkich tych językach ma ono pokrewne znaczenie: zamek, gród, — a podobno w Krakowskiem lud po dziś dzień nazywa *tynem* albo *tyniną* ogrodzenie domu sporządzone z sosnowych lub jodłowych gałęzi. Tyniec był zatem grodem, a należał on do możnego rodu Starżów, praojców późniejszych Toporczyków, którzy władali większą częścią dzisiejszego powiatu krakowskiego.

Z Tyńcem łączy się jedno z najstarszych i najdramatyczniejszych naszych podań o Walgierzu Wdałym i o pięknej Heligundzie. Możny ów hrabia na Tyńcu, przebywając na dworze dalekiego króla frankońskiego, potrafił tak rozmiłować w sobie piękną królewnę Heligundę, że ta porzuciła narzeczonego swego, królewicza niemieckiego, i z Walgierzem aż z Renu nad Wisłę przybyła, po podróży pełnej romantycznych przygód. Ale podczas jakiejś wyprawy wojennej, w nieobecności pana na Tyńcu, Wisław, książe na Wiślicy, porwał Heligundę. Walgierz się zemścił, przebijając oboje mieczem, jak Lanciotto Malatesta piękną Francuzkę i brata Teola w „Boskiej Komedji" Dantego. Baszko, kronikarz polski z pierwszej połowy XIII-go wieku, opowiada tę historję i dodaje, iż za jego czasów widzieć można było na zamku wiślickim grób niewiernej żony wykuty w skale.

Dzisiejsza nauka widzi w tej całej opowieści przeróbkę średniowiecznego poematu niemieckiego *„Walther von Aquitanien"*. Być może; niemniej ta legenda ma dla nas znaczenie dokumentu, dowodzi bowiem, że istniała tradycja o jakichś książętach na Wiślicy i hrabiach na Tyńcu, o ich rywalizacjach, zatargach i zdradach już w tych odległych czasach.

Starżowie na Tyńcu przetrwali różne przewroty IX-go i X-go wieku, wojny z państwem Wielkomorawskiem i z Czechami. Bolesław Chrobry, pod sam koniec X-go wieku, odebrał Cze-

---

*) Dr. Stanisław Tomkowicz: *„Tyniec"*; na pracy tej opieramy głównie artykuł niniejszy.

chom ziemię krakowską, a możny ród Starżów wydał mu się snać niebezpiecznym, gdyż przy urządzeniu nowozajętej ziemi Wiślan wyzuł ich z gniazda rodowego i z połowy dóbr. Lecz nie wydało mu się przystojnem majątek, odebrany rywalom, konfiskować na rzecz własną; przeto postanowił oddać go na podniesienie chwały Bożej, i osadził tam mnichów, Benedyktynów, wyposażając ich dobrami odjętemi Starżom.

Rok założenia klasztoru tynieckiego jest niepewny. Dawniejsi historycy zgodnie uważają za fundatora Kazimierza Odnowiciela czyli „Mnicha"; Długosz w *Liber beneficiorum* podaje rok 1041. Dopiero nowi badacze cofnęli tę datę w tył, przypisując założenie klasztoru Bolesławowi Chrobremu, a nawet Mieczysławowi I; lecz te teorje nie wytrzymują krytyki. Tradycja miejscowa zawsze przypisywała Kazimierzowi założenie Tyńca i twierdziła, że pierwszych zakonników sprowadził z Cluny, pomny, że sam w tem słynnem opactwie nosił przez pewien czas suknię zakonną. Przyświadcza temu Długosz, mówiąc, że za jego czasów jeszcze przechowywano w klasztorze tynieckim, książki przywiezione z Kluniaku. Pierwszym opatem był Aaron z Leodjum cz. Liege w Belgji († 1059), który został potem arcybiskupem krakowskim. Odtąd przez długie wieki, aż do kasaty klasztoru, każdorazowy opat tyniecki miał prawo do miejsca w stallach katedry krakowskiej jako jej kanonik urodzony: *canonicus natus (vel perpetuus) cracoviensis.*

Klasztor na Tyńcu posiadał jeszcze inny zaszczytny przywilej: oto uzyskał od królów polskich tytuł metropolji klasztorów benedyktyńskich w Polsce, był *archi-abbatia*—arcy-opactwem. Tylko św. Krzyż na Łysej Górze i Sieciechów nie były mu podległe, prawdopodobnie bo były fundacją starsze.

Opactwo tynieckie było najbogatsze w kraju; należało do niego 5 miast i zgórą 100 wsi; to też opata jego nazywano *quinque civitatum et centum villarum abbas.* O olbrzymiem jego wyposażeniu daje wyobrażenie *Liber beneficiorum* Długosza, (1475 r.) w którym samo wyliczenie miejscowości, albo należących do klasztoru, albo zobowiązanych do dziesięcin i danin, z krótkiem przy każdej nazwie wyjaśnieniem, zajmuje przeszło 40 stron druku w wielkiem wydaniu dzieł Długosza.

Pierwsze budynki klasztorne były zapewne drewniane; lecz niebawem Tyniec, dzięki swemu z natury obronnemu położeniu,

został inkastellowany, czyli umocniony według ówczesnej sztuki wojennej*): musiał być już wtedy murowany. Kronikarze ówcześni zwą go *castrum Tinecz.* W 1260 r. Tatarzy wpadli do Małopolski, łupiąc i plądrując ziemię krakowską; klasztor i kościół tyniecki uległ wtedy doszczętnemu zniszczeniu przez ogień i rabunek. Zakonnicy uciekając przed nawałą tatarską, nie zdołali nawet zabrać kosztowności i sprzętów. Straty były olbrzymie.

Szczygielski pisze w żywocie ówczesnego opata Modlibosiusa, że najeźdzcy gmachy klasztorne zrównali z ziemią, a kościół z kamienia, fundowany przez Piotra Własta cz. Dunina pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, który musiał być w stylu romańskim, tak jak wszystkie „duninowskie" budowy, zniknął bez śladu. Następca Modlibosiusa, opat Cosmas (1271—1287), umiał uzyskać przychylność i pomoc Leszka Czarnego, tak że klasztor tyniecki nietylko odbudował, ale i rozprzestrzenił; a starając się o pomnożenie braci i o podniesienie życia duchownego, znowu Tyniec otoczył czcią i sławą. Dzieło rozpoczęte dalej prowadził następny opat, Daniel, a w XIV już wieku Czyżyk i Dersław.

Lecz główną zasługą około budowy kościoła przyznaje historyk tyniecki Maciejowi Skawince, który był opatem w latach 1450—1477. Cieszył się on szczególną życzliwością króla Kazimierza Jagiellończyka. Jednym z objawów tego stosunku było, że gdy w roku 1467 w Krakowie wybuchła morowa zaraza, a król dla ważnych spraw państwowych musiał wyjechać na Litwę, dla królewiczów obrano na miejsce pobytu Tyniec; bawili oni tam przez jesień i większą część zimy, pod opieką magistra swego, Jana Długosza. Jako wyborny administrator, Skawinka nietylko powiększył dochody z majątków klasztoru, ale przebudował całkowicie kościół tyniecki i nadał mu wytworną gotycką formę.

Wiek XV szczęśliwą był epoką dla Tyńca, który trzech po sobie następujących dzielnych posiadał opatów. Po utalentowanym plebejuszu Skawince, przyszedł do rządow szlachcic, Andrzej Ożga. Ten dopełnił dzieła rozpoczętego przez poprzednika, dobudowując do kościoła piękne krużganki ostrołukowe.

*) Przez Konrada Mazowieckiego w 1246 r.

Był on herbu Jelita, stąd dziś jeszcze można widzieć ten klejnot rzeźbiony na zwornikach owych krużganków.

Następca Ożgi, Andrzej Nosek, zwany też Noscovius (1482--1488), wyposażył skarbiec kościelny wspaniałemi naczyniami liturgicznemi; kroniki opowiadają o „monstrancji wielkiej i ciężkiej ze srebra, kilku drogocennych kielichach i ozdobach zakrystji ze złota i srebra, przepięknej roboty (praenobiles)".

Jak wyglądał Tyniec pod koniec XV-go wieku, o tem daje nam wyobrażenie „*Liber beneficiorum*" Długosza. Czytamy tam:

„Klasztor tyniecki, stojący na wyniosłości skalistej i nieprzystępnej, którą obmywa rzeka Wisła, ma kościół klasztorny i cele oraz oficyny murowane. Góra zaś zamkowa sama znakomicie umocniona murami, wieżami, tudzież innemi środkami obronnemi, i straż tak w dzień jak w nocy ustawicznie służbę tam pełni. Piękny to klejnot ojczyzny, a przeciw zasadzkom nieprzyjacielskim silna warownia..." Dalej opowiada o ogrodach i sadach, o „dwóch ogrodach warzywnych, winnicy i sadzie wiśniowym, gdzie dużo jest ulów", itd.

Nie dziw, że przełożeni takiego opactwa mieli się poniekąd za równych biskupom w powadze, a jakby jacyś panujący czy książęta datowali swe rozporządzenia „ze zamku klasztoru tynieckiego".

Hieronim Krzyżanowski, obrany opatem w 1568 r. postanowił odrestaurować dłuższy czas nie naprawiane klasztorne budynki. Ale że w epoce Renesansu nie zadawalniała już średniowieczna gotycka ich struktura, zwłaszcza raziły wąskie okna, wpuszczające do wnętrza izb mało światła, zaczął wszystko przebudowywać. Mury obronne zamku tudzież sale klasztoru kazał w znacznej części rozebrać i odbudował na nowo „o wiele okazalej, przestronniej i wytworniej", jak pisze Szczygielski. Postanowił także kościół przerobić; nagromadził nawet materjał, ale gwałtowna choroba i śmierć przeszkodziła wykonaniu tego zamiaru.

Pod koniec wieku XVI-go został opatem Mikołaj Mielecki, który zwrócił główną uwagę na stronę intelektualną i obowiązki cywilizacyjne, które są głównem zadaniem Benedyktynów, tych „wychowawców Europy", jak ich słusznie nazwał protestancki historyk Guizot. Mielecki otworzył w Tyńcu szkołę, zwaną przez historyków „gimnazjum tynieckiem", a dobrawszy dla niej,

zapewnie wśród braci zakonnej, profesorów, przeznaczył ją w pierwszym rzędzie do kształcenia młodych zakonników, oraz przyszłych księży i nauczycieli, przez co ogromnie podniósł splendor i znaczenie klasztoru. Zaopatrzył też bibljotekę klasztorną w cenne księgi, i za znaczne sumy zakupił we Włoszech i gdzieindziej zagranicą instrumenty matematyczne.

Mielecki był ostatnim rzeczywistym opatem. Po jego śmierci (1604 r.), rozpoczyna się szereg t. zw. opatów komendatarjuszów, z pomiędzy świeckich księży i prałatów, narzucanych przez władzę królewską. Nagromadzone przy starych opactwach bogactwa, olbrzymie dochody z ich majątków, nęciły chciwość panujących; to też wydało im się rzeczą pożądaną i wygodną zużytkować te dochody na wynagrodzenie księży rządowi lub dworowi zasłużonych i usłużnych. „W tym celu,— pisze Tomkowicz — wynaleziono formułkę, mocą której dochody opactwa oddawano w dożywotnie używanie komuś zupełnie poza klasztorem stojącemu, który za to obowiązywał się utrzymywać swoim kosztem zakonników i mieć pieczę o najpilniejszych potrzebach kościoła i klasztoru". Jak na tem wychodziła sprawa służby Bożej—łatwo sobie wyobrazić. To też od chwili wprowadzenia komendatarjuszów datuje się epoka upadku klasztorów.

Słuszność jednak każe przyznać, że od tej smutnej reguły dwaj pierwsi komendatarjusze tynieccy stanowią zaszczytny wyjątek. Stanisław Sułowski, wykwintnie wychowany i wykształcony na dworze kardynała Radziwiłła, a potem na królewskim „nie mógł patrzeć na kościół tyniecki, staroświeckiej struktury (śliczny gotyk z XV wieku!). Zwłaszcza raziła go nawa główna, starością zapleśniała, brudna i przyciemna. Postanowił zatem wybudować kościół na nowo. Przygotował, jak niegdyś Krzyżanowski, wielką ilość materjałów budowlanych — i umarł.

Ale dzieło podjął następca jego, Stanisław Łubieński, biskup łucki a potem płocki, i w ciągu trzech czy czterech lat go dokonał. Postarał się pilnie o to, aby z dawnej ostrołukowej budowy nic nie pozostało; zatarł wszelkie ślady „barbarzyńskiej" średniowiecznej architektury, ze sklepień gotyckich zrobił beczkowe, dodał modną fasadę, i takież hełmy na wieżach, dobudował różne boczne kaplice, sprawił nowe stalle i ławki, — słowem pozostawił nam niezbyt zajmujący, a nawet

wprost banalny barak, źle zastosowany do starego, średniowiecznego planu budowy*).

Łubieński nietylko przebudował kościół, ale powiększył klasztor: zniósłszy bowiem szereg budynków drewnianych, mieszczących stajnie, składy i liczny personel służbowy, wymurował z fundamentu cały drugi kwadrat piętrowych budynków, które choć dziś przeważnie rozsypane w gruzy, wyglądają jeszcze imponująco, stercząc na krawędzi skały nad Wisłą. Jego też dziełem jest słynna studnia w środku dziedzińca frontowego przed kościołem, wykuta w skale na znaczną głębokość.

Wiek XVII, który w całej Polsce zaznaczył się klęskami wojennemi, nie oszczędził i Tyńca. W 1655 r. Szwedzi, nie poprzestając na rabunku, ogniem zniszczyli gmachy klasztorne, a zakonnicy musieli przed nimi uchodzić do Węgier; lecz powrócili po ustąpieniu nieprzyjaciela i zajęli się naprawą murów i dachów.

Dalsze sto lat nie zaznaczyły się w historji Tyńca niczem ważniejszem. Chylił się do upadku kraj, chylił się i klasztor tyniecki, dzieląc w niejednem smutne losy Rzeczpospolitej. Przyszły czasy ostatnich konwulsyj przedrozbiorowych. Konfederaci Barscy w r. 1771 zajęli Tyniec, dający im, jako stara twierdza, niejakie schronienie, a sam Pułaski kierował jego ufortyfikowaniem. Stąd to w lutym 1772 r. przedsięwzięto wycieczkę pod dowództwem Choisiego, Viomesnila i Saillenta, która zakończyła się zdobyciem zamku krakowskiego z rąk rosyjskiej załogi. Wśród rozruchów wojennych mnisi się rozpierzchli. Gdy później powrócili na skałę tyniecką, zastali wszystko zniszczone i ogołocone, klasztor i kościół bez dachu. Z niemałym wysiłkiem opat Amand Jaworski zdołał załatać to spustoszenie. Ale losy opactwa były już zdecydowane. Przez pierwszy rozbiór kraju, Tyniec przypadł w udziale Austrji; dobra klasztoru dekretem cesarza Józefa II skonfiskowano na rzecz t. zw. „funduszu religijnego". Utworzono nowe biskupstwo w Tarnowie, a ostatni opat tyniecki Jaworski został

---

*) Tak więc dwom Łubieńskim zawdzięczamy „zbarokizowanie" dwóch najszanowniejszych w Krakowie kościołów: Stanisław zmodernizował Tyniec, a w 100 lat potem Kazimierz, biskup krakowski, zepsuł tym samym systemem katedrę Wawelską, którą dziś z takim trudem staramy się przywrócić do pierwotnego stanu.

w 1786 r. pierwszym biskupem tarnowskim. Wtedy to uległy rozproszeniu tynieckie księgozbiory, skarbiec kościelny i dzieła sztuki. Wspaniałe monstrancje, kielichy i ornaty przeniesiono razem z biskupstwem, i stanowią one dzisiaj jeszcze bogactwo katedry tarnowskiej, budząc podziw znawców; znać w nich bogactwo niezwykłe i wysoką kulturę odwiecznej benedyktyńskiej siedziby. Bibljoteka i archiwum, liczące przeszło 4.000 dyplomów pergaminowych i papierowych z przywilejami, bullami papieskiemi, darowiznami itp. przewieziono w r. 1819 do Lwowa, do bibljoteki uniwersyteckiej. W r. 1848, w czasie bombardowania miasta, bezcenne te zbiory stały się pastwą płomieni. Część zaledwie ocalała, i znajduje się w zbiorach prywatnych, np. u hr. Berezowskich, albo u spadkobierców hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie. Z dzieł sztuki, jak obrazów i rzeźb, przedstawiających jakąś wartość artystyczną, nie posiadamy nic.

W r. 1805 nowy cios spotkał klasztor tyniecki. Benedyktyni z opactwa Wiblingen w Bawarji, rozproszeni zwycięskim pochodem Napoleona, za wolą rządu austrjackiego znaleźli przytułek w Tyńcu. Klasztor uległ wynarodowieniu; Niemcy ujęli w ręce ster jego; szkołę, do tego czasu utrzymywaną przez Benedyktynów, zamknięto, konwikt dla chłopców, opłacających utrzymanie, również; powoli starano się różnemi sposobami usunąć dawnych polskich zakonników, aby przybyszom z Niemiec nie zabierali miejsca.

W r. 1809 wojska X. Józefa Poniatowskiego zwróciły Kraków Księstwu Warszawskiemu. Niemieccy Benedyktyni wynieśli się cichaczem z Tyńca. Lecz kongres Wiedeński wcielił go napowrót do Austrji. Wtedy zabrano ostatnie pozostałości majątku Benedyktynów tynieckich, a zakonnikom „pozwolono" rozejść się po świecie. Stało się to w r. 1817. Równocześnie założono nową a krótkotrwałą diecezję tyniecką, której pierwszym biskupem był X. Ziegler, przeor klasztoru. Jako biskup zamieszkał w budynku opackim. Ale niebawem musiał tę siedzibę zmienić na Bochnię, a opuszczony klasztor zajęli w 1826 r. Jezuici i otworzyli tu konwikt. Dnia 2 maja 1831 r. piorun uderzył w Tyniec i obrócił w perzynę klasztor. Zgorzały dachy kościoła, stopniała miedź i pokrycia, spadły barokowe hełmy wież; od tego czasu wieże, prowizorycznie pokryte, przybrały dzisiejszą przysadkowatą postać*).

*) Por. X. Chotkowskiego „Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu".

Odtąd klasztor nie dźwignął się z ruin; jedynie kościół został odrestaurowany staraniem sąsiedniego obywatela, hr. Romera, i służy dziś za kościół parafjalny dla ludu okolicznego. Mury klasztoru zaś zbliżają się szybkim krokiem do całkowitego zniszczenia. Przed laty rozebrane zostało południowe ramię krużganku; na trzech pozostałych już niema piętra. Podłogi, sklepienia, schody niegdyś okazałe, zapadły się. Zaledwie kilka izb parterowych ma jeszcze cztery ściany i sklepienie. Powyrywane są posadzki, kraty w oknach, obramienia kamienne; wielki mur obwodowy częściowo rozebrany, nawet dom opacki, brama wjazdowa i mur obronny łukiem między niemi zatoczony, zaczynały się wysuwać i rozsypywać, choć tam pomieszczony był zarząd dawnych dóbr tynieckich, zabranych na rzecz funduszu religijnego. Dopiero w 1901 roku nabył te ruiny, kościół i kawałek ziemi doń należącej J. E. kardynał Puzyna, biskup krakowski, jako letnią rezydencję dla seminarjum diecezjalnego, i odtąd ta cząstka ogromnego gmachu jest przez kilka miesięcy w roku zamieszkała.

Smutny jest zatem stan dzisiejszy tego możnego niegdyś opactwa, liczącego dawniej po 90-ciu i więcej zakonników. „Brzydkość spustoszenia" zamieszkała na miejscu świętem, tak ściśle związanem z dziejami Kościoła i narodu. Z siedziby możnych dynastów stało się ono „szkołą służby Bożej" — *„schola Dominici servitii"*, jak św Benedykt nazywa swe domy zakonne. Klasztor, powstały w zaraniu dziejowem Polski, przestał istnieć razem z niepodległością Ojczyzny. A kiedy w r. 1831 burza polityczna przeszła ponad polską ziemicą i klęski jej dokonała, piorun uderzył w opuszczone od mnichów lecz całe jeszcze tynieckie gmachy, i pożar pogrążył je w ruinę, której święte te mury do dziś dnia się nie podźwignęły.

Czyż opustoszały klasztor nie powróci do rąk tych, z którymi zrosły się 900-letnie niemal jego dzieje, i którzy przez tyle wieków szerzyli ze szczytu tej skały błogie światło wiary i cywilizacji, a i dziś jeszcze w innych krajach tak skutecznie pracują na polu nauki, sztuki i prawdziwej oświaty?

S. M. R.

Pesymizm a wiara w ideały.

Często słyszy się teraz zdanie, że... ideały się przeżyły. W jednej z rozmów z pewnym kolegą-akademikiem, usłyszałam takie twierdzenie: „Ależ koleżanko, dziś wszelkie ideały się przeżyły, tak, jak przeżył się ustrój kapitalistyczny, jak przeżył się romantyzm. Ludzie nie potrafią już się zachwycać pięknem ani dobrem, gdyż pierwiastki te spowszedniały i nikt już na nie nie zwraca uwagi. A zresztą pojęcie piękna i dobra jest przecież takie względne...” A nieraz wypadnie usłyszeć i takie zdanie, że i religja się przeżyła.

W odpowiedzi na te twierdzeniaośmielę się twierdzić, że gdyby tak było istotnie, jak twierdzą owi pesymiści, istotnie nie wartoby było żyć. Bo życie bez ideałów — to piekło ohydne, gdzie w brudzie i nędzy szaleje rozpasane zwierzę ludzkiego egoizmu! Ale na szczęście tak nie jest. Ideały nie przeżyły się i nigdy nie przeżyją, jak przeżyć się nie może Piękno i Prawda, których źródłem jest sam Bóg. I jeśli komu, to nam młodym przedewszystkiem wierzyć się w to godzi, bo życie nie zdążyło jeszcze nas do siebie rozgoryczyć.

Cechą młodości jest ufność i entuzjazm. Nie był więc nigdy młodym ten, kto nie odczuwał w sobie szczytnych zapałów do prac ofiarnych na ołtarzu dobra i piękna, kto nie wierzył w ich ucieleśnienie!

To też ci, którzy wiarę tę utracili, a są jeszcze wiekiem młodzi — godni są głębokiego współczucia. To są ludzie chorzy — to bankruci duchowi, gdyż zgubili oni własną duszę.

Winni oni coprędzej zacząć pracę nad jej odszukaniem, póki nie jest jeszcze zapóźno. Póki jad zwątpienia nie przeniknął do serca i nie zatruł tam wszystkiego, co boże w nich pozostało. A gdzie znajdą oni tę duszę i jaka droga prowadzi do jej odnalezienia? Tylko droga boża. — Bo tylko Bóg jest źródłem i dawcą piękna i radosnej weń wiary; bez Niego wszystko jest blade, smutne i, jak słusznie twierdzą indyferenci religijni—względne.

Tylko nauka Chrystusa zdolna jest i może opromienić cudownemi blaski smutki i cierpienia człowieka, tylko ona może ubrać ohydnego nędzarza w szatę Miłości, tylko ona sprawia

to, że dobrzy kochają złych, a skrzywdzeni nie szukają zemsty na swych wrogach.

Słyszy się też często, że etyka Chrystusowa jest za surową dla dzisiejszego, przesubtelnionego człowieka.

Jeśli istotnie człowiek współczesny jest tak wrażliwym, to czemuż do wrażliwości jego nie zdoła przemówić ta Miłość żywa, taka prosta i wzruszająca w swej bezmiernej ofierze, jakiej przykład dał nam Zbawiciel na krzyżu?

A jeśli tak nie jest—to pocóż mamy się okłamywać?

Miejmy odwagę wyznać, że jesteśmy nie wrażliwi, ale słabi i gnuśni.

Słabość i bierność—to są choroby naszego wieku. Wkorzeniły się one do naszej jaźni tak głęboko, że uleczyć je może tylko bardzo radykalne lekarstwo — operacja. Tą operacją jest zerwanie wszelkich kompromisów z tak modną dziś teorją „względności", pod płaszczykiem której kryje się lęk przed odpowiedzialnością za swe czyny i wygoda własna — i zwrócenie się do Boga, poddanie się Jego prawom. Kto tego nie uczyni, kto nie zwycięży sam siebie i swej leniwej gnuśności — ten niech nie spodziewa się wyzdrowienia. Początkowo może to przychodzić z trudem—ten powrót, ze wstrętem nawet dla własnej nędzy i słabości. Ale pokora i poznanie swej niemocy jest pierwszym właśnie szczeblem na tej drodze.

Potem pójdzie to już nam łatwiej; i ani spostrzec się zdołamy, jak ścieżki życia poczną się wyprostowywać i rozsłoneczniać, jak miejsce pesymizmu zajmie optymizm, zjawią się entuzjazm i wiara w ideały. A wtedy życie stanie się dla nas bogatem i pełnem treści; odnajdzie się utracony sens jego celowości. Zakipi radosna, twórcza praca dla Boga i ludzi, radość zapanuje w duszy, znikną chorobliwe skrupuły i wątpliwości, niezadowolenie z siebie i świata.

Cud życia w całej swej pełni i głębokiej treści, stanie przed nami otworem! A choć nieraz pogodne te horyzonty zasłoni chmura smutku — słońce Prawdy i świadomości jej odnalezienia wkrótce je rozpędzi.

I pójdziemy walczyć, drużyna Chrystusowa, ze złem i budować na ziemi, cegiełka po cegiełce—Królestwo Jego na ziemi, którego moce piekielne nie zwyciężą!

Ale nawrócić się i wstąpić na ścieżki Pańskie bez współudziału łaski Jego—niepodobna.

A łaska ta w różny sposób się przejawia, nie trzeba tylko zamykać przed nią serca. Czasem okazuje się w sytuacjach prostych napozór, zwykłych, których nie spostrzegamy, mimo, że często w nich się znajdujemy.

Mam tu przedewszystkiem na myśli naturę. Rzadko znajdzie się człowiek, do którego piękno natury nie potrafiłoby przemówić, a przez nie, przemawia do duszy ludzkiej — dawca Piękna—Bóg. Obcowanie z nią jest lekarstwem najlepszem na wszelkie apatje i pesymizmy. Jakże często, przemęczona gorączkowem tempem pracy, jakie mnie zwykle pochłania, czułam się dziwnie zniechęconą i przygasłą — Wszystkie wysiłki najlepsze nawet, wydawały się iść na marne — Czułam wprost fizycznie, jak pochłaniać mię zaczyna demon wielkiego miasta i pchać w kierunku wręcz przeciwnym mym ideałom, a co gorsze, że czułam, że nie mam sił się przed nim bronić...

Uciekałam wtedy z miasta daleko — w góry. Tam odnajdywałam swoje ja. Wierne przyjaciółki mych samotnych dumań — nie zawodziły mnie nigdy. Brały w ręce zmęczoną duszę—i niosły ją wysoko, hen, aż przed tron samego Boga. Odradzała się nanowo. Wychodziła z tej krynicznej kąpieli zdrowa i harda, pełna dawnej energji i entuzjazmu. A góry uśmiechały się do mnie zdaleka. Księżycową mroźną nocą od ich szczytów szły ku mnie jakieś powiewy tajemne, a mocne, jakieś szepty bratnie, pełne otuchy i wiary w moc wytrwania.

Iskrzył się śnieg, leżący płatami na gałęziach świerków, migotał zagadkowo — a czarne potoki górskie z szumem płynęły w dal, nasuwając myśl, że wszystko przepływa, jak woda—tylko jeden Bóg jest wieczny i niezmienny.

Ale nie każdy może wyjeżdżać gdzieś daleko. A zresztą poco? Natura przecież jest wszędzie. Prawie każdy z nas wyjeżdża na letnie wakacje na wieś. Niechże więc ten okres, spędzony w bliskiem obcowaniu z naturą będzie dla nas okresem uzdrowienia, otrząśnięcia się z tej zgubnej apatji i pesymizmu. A każdy listek, każda trawka, każdy uśmiech słońca więcej nam powiedzą, niewyszukanym prostym językiem radości życia, niż najpiękniejsze przemowy i dawody, bo przemówią

do nas żywemi dowodami dobroci Stwórcy. Bo chyba nie znajdzie się tak zatwardziały i zgorzkniały pesymista, żeby w majowy, mokry od rosy i jasny od uśmiechów słońca ranek, ośmielił się twierdzić, że żyć nie warto, bo życie jest podłe i złe!

Żeby naturę odczuć, żeby z nią obcować — niekoniecznie nawet trzeba wyjeżdzać na wieś. Daleki, samotny spacer za miasto niedzielnym rankiem, będzie doskonałem lekarstwem na spleen i apatję. Rzeźwy powiew czystego powietrza odrazu zabarwi nasz światopogląd na jaśniejszy odcień, a gdy dobrotliwe słonko uśmiechnie się z góry — wydawać się będzie, że ojcowskiem swem okiem Stwórca spojrzał ku nam.

Płyną chmurki wiosenne po niebie — gna je szybko ciepły wiatr.

Człowiek patrzy na nie — i nagle w duszy budzi się jakaś tęsknota, jakiś poryw do czynów śmiałych a pięknych, tętniących życiem i rozmachem!

Zaszeleszczą przydrożne wierzby—zda się, że w duszy coś tam szepce, że gra na jej strunach Anioł boży...

O, bo świat jest piękny i pięknem jest życie — trzeba tylko spojrzeć na nie okiem młodości, pełnem wiary w jego sens, przez pryzmat czystego sumienia i poczucia dobroci Stwórcy!

I w tym roku doczekaliśmy się obudzenia natury ze snu— wiosny. Już w powietrzu czuć ciepłe podmuchy, już ptactwo zaczyna prowadzić po ogrodach swe świergotliwe koncerty, a słońce wszystkim jednakowo przyświeca.

Powitajmy więc Ją godnie. Otrząśnijmy się z pesymizmu! Otwórzmy oczy duszy na piękno natury, a przekonamy się, że ono namacalnie istnieje. Nie zamykajmy serc na szepty boże, ukryte w niej, a odnajdziemy w sobie napewno dawne ideały, dawny entuzjazm i zapał, oraz wiarę w Dobro i Prawdę.

A wiosnę powitamy tak, jak witać się ją powinno w niepodległej Ojczyźnie—uśmiechem!. .

Halina Litwinowówna.

Na froncie walki.

Głosy prasy o liście pasterskim ks. Prymasa Hlonda. — Trzy zalety potrzebne dla rządu: siła, uczciwość i mądrość. — „Gazeta Polska" w obronie godności ludzkiej! ?— Odezwa organizacyj bezbożniczych — Co wyrabia Polskie Radjo — Nędza naszej wsi—Motywy wyroku wileńskiego—Pogrom Polaków w Wilnie— „Vox Universitatis".

Że list pasterski J. Em. ks. Prymasa kardynała Hlonda był zjawiskiem bardzo ważnym, jednym z tych enuncjacyj Episkopatu, które trafiło w setno otaczających nas zagadnień — o tem przekonują głosy prasy polskiej i zagranicznej. Niektóre z tych głosów podajemy:

„Kurjer Warszawski" widzi w liście ks. kard. Hlonda protest przeciw zakorzeniającemu się przekonaniu, że

„państwo jest absolutnie wszechmocne; że nie jest krępowane żadnemi względami prócz nigdy nieokreślonej bliżej „racji stanu"; że jednostka jest wobec zbiorowości niczem; że prawem jest siła",

poczem nazywa list prymasowski „dokumentem o doniosłości niepospolitej, który powinien przekroczyć swem echem granice Polski".

Katowicka „Polonia" pisze:

„List pasterki ks. Prymasa w sprawie przesilenia państwowego i chrześcijańskich zasad życia państwowego nazwać trzeba jednym z najważniejszych i najdonioślejszych czynów, dokonanych w niepodległej Polsce. Powiedzmy, że ma on epokowe wprost znaczenie dla życia wskrzeszonej po wiekowej niewoli Ojczyzny naszej. Jeżeli katolicy polscy wskazania, zawarte w tym liście spełniać będą w życiu codziennem, będzie on jednym z najważniejszych, a kto wie, czy nie najważniejszym wypadkiem dziejowym Polski współczesnej".

Konserwatywny „Czas" krakowski, przechylający się silnie w stronę rządzącego dziś obozu, podkreśla:

„Listy pasterskie ks. Prymasa Dr. Hlonda mają to do siebi, że, choć wzlatują w górę jak orły, nie pozostają w krainie teoryj i ideałów, ale w przedziwny sposób „łączą wieczność z teraźniejszością". W przewdziwny sposób, gdyż są jakby balsamem na krwawiące rany polskiej duszy, odświeżającym zdrojem dla cnót publicznych, kamieniem probierczym dla tzw. nowoczesnych ideałów i metod życia zbiorowego. Słowa Prymasa Polski łagodzą spory, oświetlając je blaskiem prawd wieczystych, wobec których topnieje powłoka zepsucia i na powierzchnię wydobywa się szlachetna i rycerska dusza polska. Do takich listów należy i ostatni „O chrześcijańskich zasadach życia państwowego" z 23 kwietnia br. List ten jest praw-

dziwym posiewem wiosennym na dziedzinę zagadnień długo w Polsce stojącą ugorem, jest prawdziwym deszczem majowym na rolę spękaną od żaru partyjnictwa i stratowaną pociskami pomieszanych pojęć".

„Gazeta Warszawska" pisze o liście:

„W okresie rosnącego zamętu pojęć, często celowo i nieuczciwie zwiększanego, list pasterski Prymasa Polski jest dla najszerszych rzesz katolików w państwie drogowskazem niezawodnym, nauką, pokrzepieniem. Od grobu św. Wojciecha, u którego trumny modlił się Chrobry, raz jeszcze rozległy się słuchane w Polsce całej słowa wskazówki i przestrogi. Jak przed laty sześciuset za Jakóba Świnki, stolica arcybiskupia gnieźnieńska i dziś staje się ogniskiem, skąd na Polskę, zatracającą jakby chwilami swą świadomość dziejową wśród powszechnego kryzysu, promienieje myśl, jednocząca naród w imię wieczystych, niewzruszalnych zasad, na których od tysiąclecia cywilizacja nasza, jako narodu katolickiego, jest oparta. Droga przed katolikami polskimi została wyraźnie wytknięta".

„Dzień", organ ziemian, grupujących się w Warszawie, również stronników pomajowych prądów tak sławi list:

„Ozwał się głos, który rzuca przed społeczeństwem katolickiem jasny promień światła, dokąd iść należy. Kto wie, czy, gdyby list pasterki taki, jaki ogłosił po powrocie z Rzymu ks. kardynał Prymas Polski, był ogłoszony w dniach, czy choćby miesiącach pierwszych po odzyskaniu niepodległości, nie zaoszczędziłoby to nam wielu chwil bolesnych, ciężkich, zbytecznych, czy nie przyśpieszyłoby wzmocnienia państwowości naszej i ogólnej konsolidacji narodowej państwowo-twórczej".

„Gazeta Lwowska", rezerwujący się organ rządowy, zaznacza:

„List ks. Prymas jest czemś, co wysoko wznosi się ponad rozbrzmiewający dokoła rozgłos namiętnych sporów. Wymowa jego jest pełna spokoju, a treść sięga we wszystkie prawie dziedziny politycznego bytu i bardziej jeszcze politycznego obyczaju. Upadek tego ostatniego skłonić musiał przedewszystkiem ks. Prymasa do interwencji moralnej, której doniosłość jest ogromna. Zareagował on na zło, będące największą trucizną naszych czasów: na roznamiętnienie i wzajemną nienawiść, na to wszystko, co „rozwichrzyło polityczne sumienie". Rozwichrzyło go przeciwko inaczej myślącym i rozwichrzyło przeciwko Rzeczypospolitej".

W „Gazette de Lausanne" ukazał się artykuł wybitnego publicysty Mureta, który w ostrych słowach potępia procedery senatu gdańskiego, który jednocześnie hitleryzuje wolne miasto i alarmuje świat przeciwko Polsce.

Uwagi swe jednak Muret uzupełnia krytyką wewnętrznych stosunków politycznych w Polsce, oświadaczając, że wolno chyba wypróbowanym przyjaciołom Polski zabrać głos w sprawach, które ich martwią i niepokoją.

Przyjaciele Polski — pisze — uważają za swój obowiązek

ostrzec ją tembardziej, że jutrzejszy rząd francuski nie wiele uczyni, aby dopomódz jej w razie złego obrotu rzeczy...

Ostatnią część swego artykułu Muret poświęca omówieniu listu pasterskiego ks. kardynała Hlonda:

Prymas Polski, kardynał Hlond — pisze wybitny autor szwajcarski — w orędziu swem, nacechowanem wielką troską patrjotyczną, wykazuje z wymową nadzwyczajną konieczność wzniesienia w Polsce jednolitego frontu moralnego, opartego na uszanowaniu prawa i konstytucji („Demontre eloquement la necessité d'un redressement moral le respect du droit et de la loi").

Nie wymieniając nikogo, nie wskazując na nikogo palcem, kardynał Hlond potrafił przemówić w ten sposób, żeby być zrozumianym przez naród. Ale czy będzie wysłuchany?

Charakterystycznym jest komentarz, jakim zaopatrzył list pasterski urzędowy organ sanacyjny „Gazeta Polska". Na wstępie mamy podkreślenie słów Prymasa, że nie wolno nadużywać listu dla celów partyjnych i wciągać Kościół do sporów na korzyść tego lub owego odłamu politycznego.

„Najważniejszem jest wszakże samo postawienie zagadnienia. Daje się ono ująć tak: niema twórczej i płodnej, ani pożytecznej dla ogółu polityki, jeśli polityka ta nie jest oparta na głęboko w sumieniu tkwiącym systemacie etycznym.

Istotnie, najgłębiej istotnie „polityka nie stoi poza dziedziną praw moralnych". Władza może być sprawowana tylko w imię ideału. Partje polityczne, które z programów czynią jedyne narzędzie do zdobycia władzy nie zaś z władzy narzędzie do wcielania w życie swojej ideologji, obrażają w najdotkliwszy sposób tę moralność, która stanowić musi podstawę życia społecznego.

W dziejach Polski, aż nazbyt często ta zasada posiadania władzy dla realizacji określonych celów idealnych była zapomniana. Aż nazbyt często władza leżała na ulicy, na podłodze, w salach sejmików szlacheckich w izbie poselskiej, zrywanej przez liberum veto. Moralność polityczna była bezustannie deptana przez łatwy, zgniły kompromis, przez rezygnację z ideałów na rzecz wygód, przez ustępstwa z dobra ogółu na rzecz zysków jednostek, przez parcelowanie państwa między możnych, przez wieczystą bezkarność tych, którzy swoje sprawy stawiali wyżej niż sprawy całości, przez wieczystą bezsiłę tych, których obowiązkiem było wymusić posłuch. Aby nie rządzić przeciw niczyim interesom—nie rządzono wogóle. Ale nie rządzić wogóle—to jest właśnie rządzić „przeciw interesom państwa". To było przez wieki i do niedawna — największą obrazą moralności w życiu publicznem Rzplitej Polskiej.

Dlatego znaczenie listu pasterskiego, nawołującego, aby nie rozdzielać etyki od polityki, jest tak wielkie, dlatego list ten nie powinien minąć

bez echa i bez skutku. Stanie się wiele, jeśli każdy w swojem sumieniu rozważy odważnie i uczciwie jaki ideał przyświecać musi pracy nad uczynieniem z Polski podmiotu historji i jakie są wymagania urzeczywistnienia tego zadania.

Polityka istotnie nie stoi poza dziedziną praw moralnych. I podobnie jak wiara „bez uczynków—martwa jest".

Łatwość, z jaką organ sanacyjny zgodził się na tezę, że „polityka nie stoi poza dziedziną praw moralnych" jest tembardziej uderzająca, że w tym samym numerze „Gazety Polskiej" znajdujemy artykuł gloryfikujący Brześć i jego metody, jako słuszną karę, wymierzoną bez sądu, która spadła na przeciwników politycznych sanacji.

W komentarzu swoim „Gazeta" powołuje się na smutne przykłady z naszej historji bezsiły rządu i podkreśla, że rząd powinien być silny. Jest to inne zagadnienie i inny temat. Rząd powinien być silnym, ale i uczciwym zarazem.

Rozważmy to zagadnienie teoretycznie, sine ira et studio. Zgadzamy się z „Gazetą Polską", że rząd powinien być nietylko etycznym, ale i silnym. Powiemy więcej: powinien być tak samo mądrym. Rząd bowiem złożony z matołków, choćby był najsilniejszym, nic pożytecznego nie zrobi. Ale powróćmy do zagadnienia siły. Siłę rządzenia nie należy identyfikować z brutalnością i prześladowaniem przeciwników. Fakt, że Henryk VIII kazał zamordować kilkuset swoich przeciwników politycznych, niczem nie powiększył autorytetu władzy królewskiej w Anglji, przeciwnie, historycy widzą w tem zarzewie przyszłych gwałtów i zaburzeń. Tak bowiem zwykle się dzieje, że krew przelana niesprawiedliwie i krzywdy wyrządzone — wołają o pomstę—najpierw do Boga, a następnie do społeczeństwa. Twierdzimy z całą stanowczością, opierając się nietylko na teorji, lecz także na zupełnie konkretnych przykładach, że władza może być silną, nawet surową w przestrzeganiu ustaw, lecz sprawiedliwą i rozsądną zarazem. Szczęśliwe są kraje, których rząd łączy równocześnie te trzy wspaniałe właściwości. Godne zaś pożałowania te, których silni władcy, pozbawieni dwóch pozostałych zalet, prowadzą swoją ojczyznę do upadku.

* * *

Żeby już skończyć przynajmniej na razie z „Gazetą Polską" musimy jeszcze raz podkreślić, że nie jest ona mocna w poglądach filozoficznych i konsekwentna. Będąc heroldem

znanych powszechnie posunięć, gazeta ta od czasu do czasu zdobywa się na dziwny wyczyn sentymentalno-liberalny. Niedawno cytowaliśmy z niej osobliwą filippikę przeciwko tyranji (rozmowa Filipa II z ministrem Posą z Don Carlosie Schillera), obecnie znowu pojawił się artykuł, omawiający psychologiczne przyczyny i skutki zabójstwa dyrektora zakładów żyrardowskich Koehlera. Czytamy w nim:

„Żaden robotnik, żaden urzędnik polski, nie miał pewności, czy jutro nie zostanie wyrzucony na bruk, czy mu nie odbiorą mieszkania. Dyrektor Koehler wyrzucał setki tysięcy na to, aby „nauczyć Żyrardów posłuchu".

„Jeszcze podczas okupacji niemieckiej, gdy panował głód i gdy nie było światła, działały w Żyrardowie różne stowarzyszenia, dzisiaj jest głucho i ponuro w naszem mieście. Poprzedni właściciel wybudował dla robotników Dom ludowy, z którego mógł korzystać każdy, gdy chodziło o odczyty, zebrania, przedstawienia amatorskie. P. Waśkiewicz (zastępca dyr. Koehlera), dom ten zamknął dla publiczności i pozwala zeń korzystać tylko osobom sobie miłym. To samo jest z resursą fabryczną. Dyrekcja stanęła tu na gruncie zasady, że nie ona winna liczyć się ze społeczeństwem, ale społeczeństwo winno trząść się przed nią".

„Koehler każdą drogę uważał za dobrą, jeśli prowadziła do celu, choćby trzeba było iść po trupach".

„Uczucia ludzkie były Koehlerowi czemś zupełnie obcem. Gardził podwładnymi, obrażał ich bez potrzeby, groził im pięścią, grał palcem po nosie. Ludzie zaciskali zęby, płakali czasem i cierpieli, bo i cóż mieli robić w czasach strasznego przesilenia? Bliscy współpracownicy Koehlera opowiadali o nim, że wywierał na nich wrażenia osoby niepoczytalnej.

„Koehler pomiatał ludźmi i gardził nimi. Te sprawy domagają się gruntownego prześwietlenia, bo Żyrardów stał się widownią bezprzykładnego pomiatania człowiekiem i jego godnością.

„Koehler, człowiek bezwględny, brutalny, nadęty pychą, gardził człowiekiem. Co było jego celem —niewiadomo, bo może nawet nie zysk, może poprostu wyładowywanie nienawiści do ludzi".

Sprawozdawca „Gazety Polskiej" p. Hulka-Laskowski utrzymuje, że to systematyczne obrażanie godności ludziej było przyczyną tragicznego zabójstwa. Nie wiemy, czy tak było, skłonni jesteśmy raczej w to wątpić. Charakterystyczne są jednak spostrzeżenia p. Laskowskiego, które poczynił w Żyrardowie bezpośrednio po zabójstwie Koehlera:

„Po raz pierwszy w życiu widziałem zastanawiającą jednomyślność. Starzy emeryci, młodzi chłopcy i dziewczęta nawet dzieci szkolne, jednem słowem wszyscy spoglądali po sobie z radosnem niedowierzaniem, że może zaczyna się nowe życie dla nieszczęśliwego Żyrardowa, że skończy się cyniczny wyzysk i pomiatanie człowiekiem".

Zaiste, dziwne assocjacje myślowe wytwarzają się przy biurkach redakcyjnych organu sanacyjnego. Czyżby „zaraza w Grenadzie". Nie, to inny objaw psychologiczny. Słyszałem, że pewien policmajster rosyjski w chwilach wolnych od badania więźniów (wówczas czyniła to policja) —z rozkoszą oddawał się czytaniu i rozpamiętywaniu dzieł najliberalniejszych pisarzy zachodnio-europejskich. Natura ludzka wymaga czasami płodozmianu, dusza zaś ludzka, wykarmiona na motywach wschodnich, lubuje się w przerzucaniu z jednej ostateczności w drugą...

* * *

Akcja wrogów religji nie ustaje. Przed kilkoma tygodniami czytaliśmy w prasie katolickiej (między innemi w „Robotniku") odezwę całego szeregu organizacyj, nawołującą do wprowadzenia w życie znanego projektu ustawy małżeńskiej. Teraz już częściej będą odzywać się takie głosy, oczy bowiem bezbożników mają konkretny objekt zainteresowań, na który ustawicznie są zwrócone. Odezwę tę przytaczamy, aby czytelnicy uświadomili sobie zręczność i chytrość demagogicznych argumentów, które stanowią jej treść. Oto ona:

„Niżej podpisane instytucje społeczne i kulturalne uważają jaknajszybsze wydanie jednolitego i nowoczesnego prawa małżeńskiego za konieczną potrzebę życiową, dla położenia kresu chaosowi prawnemu, na którym cierpi szczęście rodzin, moralność jednostek i dobro całego społeczeństwa.

Wobec demagogicznej i niezgodnej z prawdą agitacji kleru i prawicy społecznej, uważamy za konieczne wypowiedzenie się za projektem i stwierdzenie prawdy:

1) Projekt jest wielkim krokiem naprzód w stosunku do różnych prawodawstw dziś istniejących na ziemiach polskich; stoi na gruncie tolerancji religijnej, demokratycznej równości wszystkich wobec prawa i nowożytnie ujmuje obowiązki państwa wobec obywateli, liczy się z dzisiejszem stanowiskiem kobiety, prawnem, moralnem i ekonomicznem; wreszcie zajmuje stanowisko zgodne ze współczesną nauką wobec zagadnienia zdrowia rodziny i przyszłości rasy.

2) Dając możność każdemu wzięcia ślubu cywilnego za nikłą opłatą, projekt nie zmusza do ślubu cywilnego ludzi, którzy pragną wziąć ślub kościelny; żąda tylko od księdza obowiązkowego przesłania protokułu ślubu do urzędu stanu cywilnego, gdzie nabiera on znaczenia aktu prawnego.

3) Stojąc zasadniczo na gruncie trwałości małżeństwa, projekt uznaje wypadki, w których rozwód jest konieczny dla fizycznego i moralnego zdrowia małżonków, dba przytem nadewszystko o los dzieci i ich zabezpieczenie materjalne.

4) Bez względu na to, czy ślub był cywilny, czy kościelny, projekt

powierza przeprowadzenie rozwodu sądom państwowym, jako instytucji ponadwyznaniowej, stosującej do wszystkich jednakowe prawo.

Niżej podpisane instutucje społeczne i kulturalne uważają, że żadne protesty ze strony kleru i reakcyjnych odłamów społecznych nie powinny wpływać na opóźnianie przedłożenia ciałom ustawodawczym projektu, który już oddawna leży w Ministerjum Sprawiedliwości.

Instytut Oświaty i Kultury im. Staszica. Liga Praw Człowieka i Obywatela. Polski Związek Myśli Wolnej. Polskie Stowarzyszenie Etyczne. Polskie Towarzystwo Medycyny Społecznej. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Robotnicze Towarzystwo Służby Społecznej. Towarzystwo Klubów Kobiet Pracujących. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Związek Kół Oświatowych. Akademicki Związek Młodzieży Ludowej. Prezydjum Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej. Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej."

Argumenty tego rodzaju padają w pierwszym rzędzie do umysłów maluczkich i nieuświadomionych. Musimy pamiętać, że protesty przeciwko projektowi bezbożnej ustawy przeszły szybko, przeważnie po wierzchołkach społeczeństwa. Uświadomienia zależytego i głębokiego w tej sprawie niema w naszem społeczeństwie. Oprócz protestów zdałaby się jakaś broszura popularna, napisana w sposób mądry, trafiający do psychiki współczesnych, wybrana może w drodze konkursu, wydana w kilku miljonach egzemplarzy i odpowiednio rozkolportowana przez parafje. Niestety, propaganda katolicka jest jeszcze niezorganizowana i zbyt słaba. Korzystają z tego wrogowie Kościoła.

Poważne ośrodki propagandowe znajdują się w rękach antykatolickich. Oto co pisze K. A. Prasowa o praktykach naszego radja:

„Od niejakiego czasu wśród radjosłuchaczów polskich rozpoczął się całkiem samorzutnie zbiorowy ruch protestacyjny przeciwko praktykom Polskiego Radja, zmuszającym do wysłuchiwania audycyj, obrażających najgłębsze uczucia zarówno religijne, jak narodowe (np. odczyt p. W. Saczyńskiego o nowej ustawie małżeńskiej, częste audycje żydowskie itd.). Wśród abonentów i słuchaczów zbierane są podpisy osób, które, rozumiejąc jak ważnym czynnikiem kulturalnym i wychowawczym jest radjo, zastrzegają się w sposób stanowczy przeciwko zniekształcaniu jego zadań przez niewłaściwą propagandę. Katolicka Agencja Prasowa, do której z paru stron zwracano się z prośbą o poparcie powyższej akcji, wzywa do nadsyłania wszystkich wspomnianych protestów (z wyszczególnieniem № abonamentu radjowego i podpisami radjosłuchaczy, korzystających z danego odbiornika, pod adresem: Polska Kat. Ag. Prasowa, Warszawa, Miodowa 17) celem rejestrowania ich i publikowania."

Coraz śmielej z każdym rokiem podnosi głowę bezbożnictwo. Laicyzm opanował już rozmaite dziedziny życia, jak np. sport, wdziera się do szkolnictwa, atakuje ustawę małżeńską...

Równocześnie kryzys gospodarczy wzmaga się. Rośnie nędza szerokich mas społecznych, zarówno pracujących fizycznie, jak i inteligencji. Miasto żyje w nędzy z powodu bezrobocia i zastoju gospodarczego. A i wieś ma się nielepiej. Czytamy w „Gazecie Warszawskiej", piśmie, które nigdy nie odznaczało się zbytnią czułością, jeżeli chodzi o niedolę ludu, taki opis nędzy na wsi w okresie „przednówka":

„Przednówek, pora pustych stodół i spiżarni, zaczynał się zwykle dawniej, mniej więcej, koło sianokosów, zależnie od zamożności i zapobiegliwości danego gospodarza. Teraz, w większości gospodarstw zaczął się już—zaraz po Bożem Narodzeniu!...

Ale zbiory tegoroczne, naogół przeciętne, ledwo starczyły chłopu na opłacenie podatków, ktore trzeba było zaraz koło Nowego Roku wnosić. Skarbowe podatki jeszcze mniejsza. Ale te gminne, sejmikowe, drogowe...

Te zjadły większość zbiorów!

Bo, jakkolwiek nie zostały cyfrowo w ostatnim roku podwyższone — to dla rolnika stały się wielokrotnie większym ciężarem, z powodu niskich cen na zboże. W rezultacie, biorąc za podstawę centnar zboża — chłop płaci dziś, w czasie kryzysu najcięższy podatek.

Teraz się za zboże trochę lepiej płaci. Co z tego? nikt go nie ma. Zarobili na tej zwyżce cen chyba bardzo nieliczni wiejscy kapitaliści, no i miejscy spekulanci - - żydzi.

Wieś nie ma co sprzedawać. W nagłej potrzebie gotówki, w razie choroby, śmierci, naprzykład, chłop sprzedaje lub zastawia kożuch, inwentarz. W ostateczności wynosi się do miasteczka pierze z poduszek i pierzyn.

Nawet w zamożniejszych okolicach, w Sieradzkiem, w Kaliskiem są rodziny chłopskie, które już od Wielkiejnocy nie oglądają chleba. Chyba od święta, kupiony za ostatnie grosze w mieście. Chleb z miasta na wieś!

Rodziny takie żywią się kartoflami wyłącznie. Czasem bez soli nawet. Jaja, masło — trzeba sprzedawać. Choć mały na nie popyt i ceny — ale parę groszy przecie trzeba mieć, choćby na zapałki, na naftę, nie na to, aby ją wieczorami wypalać. Chłopi chodzą spać o zmierzchu. Ale tak, od wypadku. Czasem ktoś zachoruje, czasem trzeba w nocy do inwentarza ze światłem zajrzeć..

A jeśli się wieczorem wraca z miasta, musi być uwiązana do wozu latarnia. Inaczej—kara.

W jednem miasteczku sprytny żydek wynajmował latarnie przy wjeździe. Na czas pobytu w mieście i na wyjazd. Na drodze, za miastem stał wspólnik i odbierał latarnie.

Żydki i na przepisach policyjnych umieją zarobić!"

Czy wśród takiej nędzy może odbywać się w sposób normalny proces uświadomienia religijnego, narodowego i państwowego. Pewne minimum dobrobytu jest wszak potrzebne do praktykowania cnoty, a także — do wyrobienia poczucia patryjotyzmu. Parjasi, ani heloci nie są patryjotami! Zdaje się, że z tej prawdy nie zdają sobie sprawy nasi... konsulowie. Caveant consules...

Przejdźmy do innych spraw. Do obfitych archiwów kwestji żydowskiej w Polsce przybył nowy, bardzo ciekawy dokument: motywy wyroku Sądu Okręgowego w Wilnie w sprawie morderstwa ś. p. Wacławskiego dokonanego przez tłum żydów, z pośród których został ujawniony i skazany Samuel Wulfin. Motywy te są tak ciekawe, że przytaczamy je prawie w całości:

„Z zeznań, zbadanych na przewodzie sądowym świadków, tak dowodowych jak i odwodowych, poza wszelką wątpliwością wynika, że w dniu 10 listopada 1931 r. w dwóch punktach miasta Wilna, mianowicie: przy zbiegu ulic Słowackiego i Szeptyckiego, a następnie przy zbiegu ulic Wielkiej Pohulanki, Zawalnej i Trockiej, w krótkim odstępie czasu jedno po drugim miały miejsca dwa zbiegowiska, składające się z osób narodowości żydowskiej, które to zbiegowiska, wspólnemi siłami uczestników, dopuściły się gwałtu na osobie ś. p. Wacławskiego, w pierwszym wypadku przez śmiertelne ugodzenie go kamieniem w głowę, w drugim—przez uderzenie go również w głowę kamieniem już rannego i wiezionego dorożką przez kolegów do pogotowia ratunkowego, tudzież przez obicie laskami 2 przechodzących ulicą Zawalną studentów nie żydów.

Zbiegowiska te były do pewnego stopnia wrażeniem nastrojów, jakie zapanowały wśród przeważnej ilości młodzieży żydowskiej z powodu niewłaściwego i karygodnego zachowania się pewnego odłamu młodzieży polskiej na U. S. B., które tak w dniu, poprzedzającym wyżej wspomniane zajścia, jak w dniu, kiedy to zapanowały zajścia, nie dopuścili studentów żydów do gmachu głównego oraz innych lokali uniwersytetu, a z lokalu w którym się mieści fizycum uniwersytetu, przemocą wydalił zebranych studentów żydów. Te nastroje spowodowały, że zamieszki, rozpoczęte przez wzmiankowy odłam młodzieży polskiej, w obrębie murów uniwersyteckich, które powinny i mogły być zlikwidowane wewnątrz tych murów przez władze akademickie, jak to zresztą potem się stało, wylały się i to z winy młodzieży żydowskiej w formie ekscesów ulicznych tak w dniu 9 listopada, kiedy poszczególne grupy żydowskie zaczęły napadać na ich osobach, jak i w dniu 10 listopada, kiedy na idącą ulicą Słowackiego grupę akademików Polaków, po rozproszeniu przez policję większego ich zbiorowiska, zebranego na ulicy Nowogrodzkiej, z ulicy Szeptyckiego wypadła grupa żydów i obrzucając ich kamieniami, śmiertelnie zraniła ś. p. Wacławskiego, a następnie inna grupa żydowska, przy zbiegu ulic Zawalnej i Trockiej, bez żadnego powodu ze strony napadniętych i nie zważając na

to, iż był wieziony śmiertelnie zraniony Wacławski, co rzucało się w oczy każdemu, tak ze względu na pozycję, jaką zajmował w dorożce, jak i na krew, która sączyła się mu z głowy i którą zbroczona była chustka, zasłaniająca mu twarz, obrzuciła kamieniami tę dorożkę, a jednym z tych kamieni ugodzony został znajdujący się już w agonji Wacławski.

Jeden z obrońców oskarżonych, sam żyd, podkreślał, że w żydach zamieszkałych w Polsce niema i nie powinno być w stosunku do Polaków nietylko nienawiści plemiennej, lecz nawet i jakiejkolwiek bądź nrechęci, ponieważ Polacy w okresie kilkusetletniego współżycia z żydami nic prócz dobrego im nie uczynili, przytoczył przytem szereg faktów historycznych, dosadnie stwierdzających ten właśnie humanitarny stosunek do nich Polaków. A jednak, niestety, ta niechęć, i nie tylko niechęć, lecz i nienawiść istnieje, bo czemże jak nienawiścią do nie żyda wytłumaczyć zachowanie się tłumu żydowskiego, który nie zawahał się przy zbiegu ulic Zawalnej i Trockiej umierającego już Wacławskiego ukamienować. Czem wytłumamaczyć, że na pojedyńczo przechodzących akademików Polaków—nie endeków, nie wszechpolaków w rozmaitych częściach miasta Wilna wypadały grupy żydowskie i ich biły, w tem Wilnie, w którem nigdy pogromów żydowskich nie było, w którem jest ulica Gaona i które jest kolebką ducha Mickiewicza twórcy wyidealizowanej pod wpływem tęsknoty za Ojczyzną, przepięknej postaci żyda-patrjoty — Jankiela Cymbalisty.

Może ta nienawiść do Polaków jest tylko refleksem nienawiści, na wieki całe zapadłej w duszy żydowskiej i do dziś dnia jeszcze nie wygasłej do narodów chrześcijańskich, które ich paliły na stosach, lub w inny sposób uśmiercały, ale ona jest i na to tymczasem lekarstwa jeszcze niema, pomimo, zdawałoby się, tak skutecznego środka, jak kilkusetletni humanitarny stosunek do nich Polaków. Wystąpienie na U. S. B. części młodzieży polskiej przeciwko studentom żydom było li tylko oliwą na ogień tej nienawiści, który płonie w duszach żydowskich i który wybuchnął w ekscesach ulicznych, o których wspomniano wyżej...

Z tych wszystkich danych i wypływających na ich podstawie rozważań, sąd przyszedł do zgodnego przekonania, iż dnia krytycznego we wskazanych wyżej punktach miasta Wilna miały miejsca zbiegowiska publiczne żydów, uczestnicy których-to zbiegowisk z pobudek, wypływających z nienawiści plemiennej dopuścili się gwałtu na osobie ś. p. Wacławskiego, obsypując jego oraz idących, a następnie jadącycb z nim razem akademików Polaków gradem kamieni, co w zupełności odpowiada dyspozycji art. 122 cz. I, p. I K. K.

Artykuł ten, który w myśl intencji prawodawcy rosyjskiego, miał być gwarancją bezpieczeństwa żydów, lub innych innoplemieńców, zamieszkujących b. imperjum rosyjskie, jak np. Ormian na Kaukazie przed tłumnem wystąpieniem przeciwko nim tej lub innej większości narodowościowej, tu w odrodzonej Polsce, tu w Wilnie, gdzie nie powinno być nienawiści plemiennej, musi być, niestety, zastosowany względem żydów, bo nie ulega wątpliwości, że ich tłumy w dniach krytycznych na ulicach Wilna zapoczątkowały wystąpienia które noszą miano pogromu".

Motywy tego wyroku powinny być wydrukowa w kilkuset tysiącach egzemplarzy i rozesłane po całym świecie, a zwłaszcza tam, gdzie prasa żydowska miotała na Polskę potworne oszczerstwa, oskarżając nas ciągle o pogromy żydów.

Oto okazuje się (i jest to udowodnione sądownie), że w r. 1932 w Wilnie żydzi dokonali pogromu Polaków, kamienując dosłownie jednego z nich i raniąc kilkunastu. Tak, że Sąd Rzeczypospolitej musiał zastosować przeciwko żydom art. kod. karnego, stosowany specjalnie przeciwko pogromów mniejszości narodowych.

Fakt ten ma swoją wymowę paradoksalną, a jednak jest prawdziwy. Byłby on nie do pomyślenia we Francji, Anglji, Niemczech — w tych krajach, gdzie przed kilkoma wiekami odbywały się naprawdę krwawe pogromy ludności żydowskiej, którą potem Polska przyjęła, dając jej ochronę. Niema wdzięczności w stosunkach międzynarodowych — to też żydzi fatalnie odwdzięczyli się Polsce...

Pomyślmy sobie, coby się stało, gdyby żydzi ubrani w swój strój narodowy, dokonali przypuśćmy w Londynie, lub w Liverpolu pogromu kilku Anglików, albo w Marsylji zamordowali Francuza, występując gromadnie, jako żydzi! A tymczasem w Warszawie mieliśmy niedawno drugi pogrom. Oto handlarz ryb, Polak, został otoczony przez tłum swoich konkurentów, żydów, okradziony z pieniędzy, a gdy ścigając złodziaja, wystrzelił i nieostrożnie zranił żydówkę, został przez ten tłum zlinczowany. To się nazywa w języku żydowskim — konkurencja handlowa...

Zaiste, dulcis est sanguinis Polonorum...

* * *

Mamy przed sobą numer kwietniowy miesięcznika „Vox Universitatis", organu Stow. Kat. Młodz. Akad. „Odrodzenie". W artykule wstępnym, zatytułowanym: „Zaniedbana reduta" czytamy, że nie wszędzie akcja katolicka posuwa się naprzód, przeciwnie są odcinki, na których działa milczą i linja bojowa coraz wyraźniej się cofa. Do tych odcinków autor zalicza dział zagadnień społecznych, a ściśle biorąc socjalnych i bardzo mocno występuje przeciwko traktowaniu tych spraw po macoszemu w sferach inteligencji katolickiej. Drugą część artykułu zacytujemy dosłownie:

Krzykną nam, że to polityka. Może, jeżeli polityką nazwiemy każde precyzowanie poglądów i głoszenie ich nietylko na swojem podwórku. Ale nikt nie śmie nam zarzucić polityki partyjnej, lub dążenia do schwycenia władzy w swoje ręce. Pozostawiamy to politykom i stronnictwom. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

Stoi przed nami przedewszystkiem otwarta rana kwestji socjalnej. Chcemy, i to leży w pierwszej płaszczyźnie naszych zamierzeń, kłaść podwaliny myślowe pod nowocześnie pojętą, katolicką przebudowę socjalną Polski.

Przygłuszona reduta przejdzie do ofensywy.

Wiemy, że same te słowa są dla wielu czerwoną płachtą. Niech ocenią, ile w tem jest troski o dobro społeczne i sprawę katolicką, a ile ekskluzywizmu i egoizmu partyjnego.

Wiemy, że w samym obozie katolickim napotkamy na inne, niż nasze poglądy. Nie zdziwi to nas. Nie rościmy sobie pretensji do „jedynie katolickich" rozwiązań. Nie dążymy do monopolu. W dziedzinie, którą obejmujemy, panuje wolność, obowiązuje jedynie szczere i uczciwe, bez ubocznych, partykularnych celów i intencyj wysnuwanie z katolickich założeń, katolickich konsekwencyj. Różnice zdań być muszą i mogą być tylko twórcze. Żądamy tylko, by ci, co do Kościoła dziś się przyznają mieli zrozumienie dla doniosłości naszego ruchu, nie rzucali nam kłód pod nogi i umieli ustrzec się przed często z zewnątrz płynącemi, obcemi katolicyzmowi podszeptami.

Mamy jeszcze daleką drogę do przebycia, jesteśmy dopiero u jej początku, lecz twardo na niej stoimy. Będziemy musieli często płynąć przeciwko prądowi, łamać zakorzenione przesądy, spotka nas niejeden zarzut, niejedna przeszkoda, niejeden cios. Nie boimy się. Mamy odwagę konsekwentnie myśleć i konsekwentnie chcieć,

Życie polskie czeka na twórców, budowniczych i zdobywców. Mamy wszystko do zdobycia. Katolik musi iść na przodzie i władać życiem. Reduta nie zamilknie.

Był czas (między rokiem 1919 a 1925), kiedy „Odrodzenie akademickie tworzyło w Polsce wielkie rzeczy. Było pionierem wśród młodej inteligencji obecnie już utartych pojęć, wcielanych w życie przez Akcję katolicką. Próbowało również pogodzić z ludem i zainteresować kwestją społeczną młodzież akademicką, myślącą kategorjami katolickimi i narodowymi. Taki bowiem ton odzywał się w duszach tych, którzy „Odrodzenie" wówczas (1919 — 1925) tworzyli i nim kierowali. Była to muzyka przyszłości.

Obecnie, po latach 7, widzimy znowu na łamach organu „Odrodzenia" akademickiego odblask tego tonu społecznego. Oby nie był błędnym ognikiem, lecz prawdziwym ogniem zapału i energji. Jest bodaj ostatni czas na to, aby wśród młodej

inteligencji katolickiej zapanował prąd, zmierzający do szczerej i pełnej poświęcenia pracy dla ludu i wśród ludu w myśl ideałów katolickich. Pierwszym krokiem do tego mogąbyć studja zagadnień społecznych. Ale one nie wystarczą. Obok studjów musi być tak samo praca praktyczna na terenie warsztatów ruchu społecznego i zawodowego. Non scholae, sed vitae discimus...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Z powodu książki o. M Pirożyńskiego: „Co czytać?"

Korzystam z tego, że „Pro Christo" artykuł ks. A. F. Kowalkowskiego p. t. „Na marginesie książki o. Marjana Pirożyńskiego: „Co czytać" zamieścił jako dyskusyjny, by wypowiedzieć kilka uwag z powodu ataków, jakich o. Pirożyński stał się celem, od chwili ukazania się na półkach księgarskich wymienionej powyżej książki.

Ks. Kowalkowski wystąpił pod hasłem szczerości; skwapliwie podejmuję to zdrowe hasło i również będę szczerym.

W obszernej krytyce swojej książki o. M. Pirożyńskiego wytknął ks. Kowalkowski autorowi trzydzieści różnych usterek, przypuszczam, że przy „szczerych chęciach" mógłbym ich wyłowić drugie tyle—ale czy nawet cała kopa niedociągnięć, omyłek lub uchybień całkowicie dyskwalifikuje książkę? Czy tutaj czasem ks. Kowalkowski jak i inni krytycy z obozu katolickiego nie ulegli sugestji tych, którym książka „Co czytać?" była bardzo niewygodna i postarali się ją możliwie najgruntowniej zdyskwalifikować?

Jeżeli można jaki zarzut o. M. Pirożyńskiemu postawić, to chyba ten przedewszystkiem, iż zgrzeszył gorącością serca. Widział wielką potrzebę poradnika dla czytających książki powieściowe, bo istniejące dziełka informacyjne zarówno „*Uświadomienie katolickie*" ks. dr. Antoniego Szymańskiego, jak i „*Katalog informacyjny dla maturzystów*" ks. Adama Pyzowskiego, czy „*Przewodnik po literaturze religijnej*" O. Jacka Woronieckiego, beletrystyki nie omawiały, a tymczasem polski rynek

wydawniczy zalany został przez powieścidła różnych Pitigrillich, szerzące spustoszenie moralne w społeczeństwie. Widząc tę gwałtowną potrzebę takiego przewodnika, zakasał rękawy, wziął się do roboty o. Pirożyński i przewodnik potrzebny zrobił; a że w pośpiechu to i owo pominął, niedość przejrzyście pod względem architektoniki pisarskiej rozplanował lub zbyt po gospodarsku potraktował — to są niewątpliwie braki, których lepiej żeby nie było, ale nie są to usterki, pozbawiające wartości całą pracę.

Nie dziwię się, że zręcznie wyzyskali usterki książki o. Pirożyńskiego wszyscy krytycy z obozu przeciwnego, którzy, dla zdyskredytowania niepożądanej dla siebie książki, nie potrzebowali szukać przysłowiowej „dziury w całem”, a tylko wyolbrzymić istniejące uchybienia czy braki—natomiast bardzo się dziwię piszącym z naszego obozu, iż tak łatwo dali się opanować panice i na wyprzódki gromy ciskają na o. Pirożyńskiego, by tylko wykazać się wobec panów z przeciwnego obozu, że nie są ignorantami, że widzą wszystkie błędy autora „Co czytać?”, że go też potępiają.

Nie piszę tych słów, by bronić o. Pirożyńskiego, bo on sam, jeżeli to uzna za potrzebne dla sprawy, obronić się potrafi — ale mi chodzi o ten błąd taktyczny, jaki w naszym obozie jest często popełniany z powodu nadmiernej wrażliwości na zarzuty ignorancji.

Za przykładem p. Dulskiej strasznie boimy się „skandalu”, a już niech w atakach przeciwników znajdzie się choć odrobina słuszności, tracimy z punktu głowy i z jękiem „kompromitacja” pomagamy przeciwnikom dobijać własnych towarzyszów broni.

Ks. Kowalkowski znalazł trzydzieści uchybień w książce O. Pirożyńskiego, — jak powiedziałem powyżej, przy „szczerych chęciach” można ich znaleźć drugie tyle, ale jeżeli na 1000 przeszło omówionych autorów nawet w sześćdziesięciu wypadkach są jakieś usterki, to książka w 6% jedynie jest wadliwa, a 94% spełnia swoje zadanie i chyba nie zasługuje na orzeczenie, by ją „jaknajprędzej wycofać z rynku księgarskiego”. Słuszną natomiast rzeczą byłoby podanie rady dodania kartki czy paru kartek uzupełnień, gdzie rzeczywiste usterki czy braki byłyby poprawione i omówione.

Ktokolwiek ma pojęcie o technice wydawniczej, ten nie-

wątpliwie się orjentuje, że wiele usterek książki „Co czytać” powstało z pośpiechu jej opracowywania, a następnie z pośpiechu przy druku. Książka wyszła pod firmą Wydawnictwa X. X. Jezuitów w Krakowie, ale drukowana była w Toruniu. Brak starannej korekty redakcyjnej przed oddaniem książki do druku i brak fachowej korekty w czasie druku—rzuca się w oczy i jest przyczyną połowy uchybień, wytykanych O. Pirożyńskiemu.

Pomimo jednak wszystkich swoich braków książka „Co czytać?” jest pożyteczna i dobrze pełni swoją służbę, co stwierdzam na podstawie rozmów z bibljotekarzami i bibljotekarkami czytelni popularnych, którzy z przewodnika o. Pirożyńskiego korzystali i z uznaniem odzywali się o usługach, jakie im książka „Co czytać?” w pracy oddaje.

I jeszcze słówko. Ks. Kowalkowski zdumiewa się, iż wydawany przez XX. Jezuitów w Krakowie miesięcznik „Przegląd Powszechny” ocenił pochlebnie pracę o. Pirożyńskiego i tłumaczy sobie to tylko tem, że poradnik „Co czytać?” nosi firmę... Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Skoro potykamy się pod sztandarem szczerości, to pozwolę sobie szczerze powiedzieć, iż ten ostatni... „kwiatek” nie powinien był znaleźć się w krytyce ks. Kowalkowskiego zwłaszcza—gdy, jak sam pisze, dał swe uwagi krytyczne do druku w imię hasła „Pro Christo”.

Krytykujmy się surowo, ale sprawiedliwie i rzeczowo, wszelkie zaś insynuacje czy złośliwości są w naszych krytykach i polemikach najzupełniej zbyteczne.

Ad. L. Szymański.

Salto mortale Emila Zegadłowicza.

Jak wogóle literatura nasza obecna, tak i polskie czasopiśmiennictwo chodzi jakby poomacku, z zawiązanemi oczyma, szukając drogi nowej epoki literatury. Nie tylko, że nie mamy dzisiaj ośrodków polskiej myśli twórczej na modłę Wilna z okresu filomacji czy Warszawy pozywistycznej, — także istniejące dzisiaj tygodniki i miesięczniki, poświęcone kulturze artystycznej i literackiej, właściwie tylko wegetują, dysząc agonją suchotni-

czą. Gdzież to się podziały owe czasy z przed lat kilkudziesięciu, kiedy to we wzajemnej walce o nowe tory artystyczne i filozoficzne ton nadawały społeczeństwu polskiemu pisma takie, jak „Bibljoteka Warszawska", „Przegląd Tygodniowy", „Niwa", „Prawda", „Ateneum", „Życie", „Świat", czy „Chimera".

Niektóre z tych pism dzisiaj już nie istnieją, inne są jakby parodją swej przeszłości. Nawet taki „Tygodnik Ilustrowany", który przed wojną tak chlubną odgrywał rolę dla polskiej literatury i sztuki, dzisiaj istnieje chyba tylko po to, żeby być. Nowe zaś powojenne pisma, noszące nagłówek „literackie", albo są bez znaczenia, albo traktują de omnibus rebus et quibusdam aliis, najmniej jednak o literaturze i sztuce (egz. „Wiadomości Literackie". Pomijam takie wydawnictwa, jak zasłużony „Pamiętnik Literacki" i „Ruch literacki", które jako ściśle fachowe, ograniczają się właściwie tylko do podawania toku i wyników badań naukowych nad literaturą).

Nic więc dziwnego, że wprost palącą jest kwestja stworzenia takiego organizmu, czy takich organów, które skupiając dokoła siebie literatów i artystów, roztrząsałyby zagadnienia kultury i myśli artystycznej. To też z wielkiem zaciekawieniem przyjęto pod koniec zeszłego roku wiadomość, że w Poznaniu ma się ukazać czasopismo młodych poetów, któreby zapełniło jedną z rażących w dzisiejszem naszem życiu kulturalnem luk. I rzerzywiście 15 grudnia 1931 r. wyszedł pierwszy numer owego pisma, noszącego nazwę „Dwutygodnika Literackiego", wydawanego nakładem „Klubu Poetów" i „Promethidiome", organizacji gromadzącej młodych poetów i artystów z pośród świata akademickiego Uniw. Pozn.

Jednakże, jak wielkie było zainteresowanie się zapowiedzianem (nieoficjalnie dawno naprzód) pismem, również wielkie było rozczarowanie społeczeństwa po ukazaniu się zaraz pierwszego numeru.

Łaknących organu o pewnym poziomie (wyższym nad szarą codziennością) kulturalnym i artystycznym zbił z tropu inauguracyjny „List pasterski" datowany w Klechistanie, 8 decembra, i podpisany przez „Waszą Emilencję". Nie było tajemnicą, że tą Emilencją jest Emil Zegadłowicz.

Jemu, to jako jednemu z doniedawna czołowych poetów (w ostatnich latach mocno się zmanierował) i temu, którego Po-

znań naprawdę szczerze polubił, powierzono słowo wstępne, rzucające hasło, pod którem wychodzić ma „Dwutygodnik Literacki". Ale Zegadłowicz zawiódł Poznaniaków. Zdarł ze swego oblicza maskę i pokazał urbi et orbi, że nie jest już tym, za któregośmy go mieli. Splunął Poznaniowi i Wielkopolsce w twarz, nazywając gród Przemysławski „gnojówką", „strasznemi okopami trójcy obłudy, pychy i zacofaństwa". Poznań, który go tyle lat hodował i pieścił, jest dla niego „puszczą przesądów i oćmiewań", „miejscem niemrawem i grząskiem". A mimo, że sam na dobre tu się zagnieździł, nie myśląc chwilowo o emigracji, mimo, że tutaj wyrósł najpiękniejszy kwiat jego poezji, mimo, że tutaj zwłaszcza materjalnie wcale dobrze jest sytuowany, — czuje się Zegadłowicz w Poznaniu jakby w „dusznej stęchliznie", gdzie „brak jakiejkolwiek (nie mówiąc o czystej) atmosfery", obraca się jakby „w ruchliwej zadyszanej, niechrześcijańskiej obłudzie, gdzie świętość stała się kramarstwem, świątynia bankiem a celem syty kałdun". Wogóle nie ma nic dodatniego w tym Poznaniu, gdzie on sam, Emil Zegadłowicz, utrzymuje swój „syty kałdun" „na powierzchni gnojówki" i za serdeczną gościnę odwzajemnia się błotem i plwocinami. Wszystko go tu razi, zwłaszcza religijność poznańskiego społeczeństwa oraz duchowieństwo, ba, nawet pomnik Serca Jezusowego, który w jego oczach jako „straszliwy ideowo i artystycznie złom głazów" jest „symbolem pychy i zimna". Przewraca także w grobie tych, co „pouciekali" z tego „rezerwatu siedemnastowiecznego": Berwińskiego, Przybyszewskiego, Kasprowicza i uważa, że „niewytrzymał tu nikt, nikt ważny, nikt naprawdę ważny". (N. b. jaka rozczulająca skromność co do własnej osoby!).

A jakiż jest program podemilencyjnej braci w poezji, skupiającej się dokoła „Dwutygodnika?" I o tem mówi pasterskim tonem klechistańska Emilencja. Mają oni w nowem piśmie literackiem „dotrzymywać kroku nowym myślom, realizacjom nowych idei". „Dwutygodnik Literacki" ma „dawać wyraz nowym, świeżym, buntowniczym poglądom, idącym gniewną falangą przez cały świat wszerz i wzdłuż, poglądom, pewnikom i wiarom zmieniającym doszczętnie i do niepoznania społeczne, religijne i artystyczne oblicze konfiguracji globu". Skończony rewolucjonizm! A dając swoim „wiernym" na drogę rewolucyjnego boju o przewartościowanie wszelkich wartości ojcowską ra-

dę, „że tylko ten przygotowuje przyszłość, kto rozumie teraźniejszość, kto nią w każdym calu jest" woła pełen mistycznej ekstazy „Fiat Lux!", poczem składa życzenia ukazania się drugiego numeru „Dwutygodnika" i daje emilencyjne błogosławieństwo „w imię ćwierćwiekowej wiernej, jakkolwiek niezawsze zwycięskiej, służby w armji poezji". Skutek tej inauguracyjnej kanonady pasterskiej dawał się we znaki samemu „Dwutygodnikowi", albowiem brać studencka (podobno za interwencją J. W. Pana Rektora Uniw. Pozn.) wycofała się z wydawnictwa tego pisma.

Do obecnej chwili, gdy te słowa piszemy, ukazało się już pięć numerów „Dwutygodnika", czyniąc zadość pobożnemu życzeniu Klechistańskiej Emilencji.

Pierwsze numery świadczą także o realizacji owej w emilencyjnym liście pasterskim zapowiedzianej buntowniczości. Natomiast trudno skonstatować urzeczywistnienia się ekstatycznego wołania „Fiat Lux!" Owa „lux" stoi dotąd jeszcze pod znakiem rebusu. Raczej coraz gęstsze otaczają „Dwutygodnik" ciemności podziemne—tenebrae infernae. (Radziłbym redaktorom „Dwutyg. Lit.", żeby sobie kupili z kilka paczek owego proszku mydlanego „Lux", by przeprać swoją duszę, i pióra!).

W myśl zapowiedzianej walki o nowe poglądy, pewniki i wiary, „zmieniające doszczętnie i niedopoznania społeczne, religijne i artystyczne oblicze konfiguracji globu" rozpoczęto, śladem warszawskich „Wiadomości Literackich", robotę atakiem przeciwko religji katolickiej. Do tej „literackiej" roboty zaprzęgnięto pióra z „Wiadom. Lit." i z „Racjonalisty", by nadrobić powagą i starszeństwem niektórych współpracowników, to, na co nie stać młodzieniaszków w typie Stanisława Balickiego. Każdy prawie numer „Dwutygodniczka" zawiera mniej lub więcej ohydne napaści na katolicyzm, propagując z drugiej strony myśl „postępową", zasady racjonalistyczne. Metody, któremi się ci „literaccy" puryfikatorzy katolicyzmu (wszak oni występują niby do walki o „czystą" i „prawdziwą" religję Chrystusową, przeciw tej spaczonej przez duchowieństwo katolickie!...) są zawsza te same, od czasów jerozolimskich faryzeuszów A często nawet, właśnie jako „postępowcy", prześcigają swoich pra-praszczurów w podłem kłamstwie i fałszerstwie, jak np. p. Wulka-Laikowski w nr. 5-tym „Dwutygodn.", gdy w napastli-

wym artykule o zjeździe pisarzy katol. dopuścił się obrzydliwej nieuczciwości w stosunku do Stan. Szczepanowskiego i jego postulatu, że „Polska nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie". (Zwrócił na to uwagę poznański „Głos Akademicki" № 7 z 10 marca b. r.).

I takiemu pismu patronuje Emil Zegadłowicz! Ten Zegadłowicz, który tak serdecznego doznał przyjęcia w grodzie Przemysława, wogóle na ziemi Wielkopolskiej, ten, który duchem swej poezji najbliżej stoi autorowi „Księgi Ubogich".

Ot! salto mortale p. Emila!*)

A. F. Kowalkowski.

Produkcia literacka Francji katolickiej w ubiegłym roku.

II.

Un animateur de la jeunesse au XIII siecle par Marguerite Aron Paris, Descleé de Brouver et Cie 1930. 391 stron.

Pod tym tytułem daje nam p. Małgorzata Aron, nauczycielka gimn. im. Wiktora Duruy w Paryżu, biografję Jordana Saksończyka, pierwszego następcy św. Dominika na stanowisku generalnego mistrza zakonu OO. Dominikanów. Słowo „biografja" jest za suche dla tej pięknej książki: cała epoka jest tu odmalowana około żywota jednej osoby. Autorka przygotowała się do studjum swego przedmiotu ogłaszając listy do Djany d'Andolo, które pozostają najlepszym źródłem do poznania go.

Młodość Jozdana Saksończyka jest nieznana aż do jego wstąpienia do zakonu w r. 1220, niewiadomy jest nawet rok urodzenia. W dwa lata po złożeniu ślubów już obejmuje stanowisko po św. Dominiku w Bolonji, gdzie został wybrany prowincjałem prowincji Lombardzkiej. Jest to osobistość potężna,

*) W tej chwili dowiaduję się, że podobno na terenie poznańskim nastąpiła generalna klapa w „Dwutygodniku Literackim" tak, że wydawnictwo to zwinie tutaj swój stragan i myśli zaszczycić swoim kratorem stolicę wawelską. Rzeczywiście nie wytrzymuje w Poznaniu nikt ważny!...

niestety zbyt mało znana; czyżby był owym sławnym matematykiem, który pod pseudonimem Jordana Gajewskiego (Giordanus Nemorarius) pozostawił spuściznę naukową pokaźną, a imię o znanym dźwięku? O. Denifle swego czasu oświadczył się przecząco, panna małgorzata Aron wznowiła dyskusję na ten temat i odpowiada twierdząco. Czytając jednak o różnorodnej działalności Jordana chciałoby się wątpić o tem, czy można jednocześnie pisać dzieła naukowe nieprzerywając tysiącznych zabiegów wpływowego stanowiska, chyba że okres twórczości naukowej poprzedził czynności administracyjno apostolskie. Zostawszy prowincjałem, a później generałem, Jordan pozostawia ślady swej gorliwości we wszystkich uniwersytetach ówczesnej Europy, i to jest najciekawsza partja książki, wędrujemy z nim z Paryża do Bolonji, następnie do Montpellier, do Tuluzy i Oksfordu, a wszędzie przypatrujemy się ożywionemu ruchowi życia uniwersyteckiego, który nam przedstawia panna Aron. Ale także inne strony życia ukazuje nam z równem znawstwem np. rozwój zakonu Dominikańskiego: przeszło 200 klasztorów powstało w 15 latach, rekrutacja cudownie szybka. Na dalszem tle widzimy Rzym, cesarstwo, miasta Lombardzkie, czyli całą scenę na której Jordan i jego konfraternja odgrywają swą rolę.

Jest to więc książka niezwykle urozmaicona, obejmuje kilka zagadnień doniosłych, dotąd nigdy nie złączonych. Piękna figura góruje nad całą treścią, szlachetna dusza ujmuje wszystko skrzydlatym duchem, którego wyrazem są prześliczne listy, pisane przez Djanę d'Andolo do Jordana, jako jej powiernika i kierownika duchownego. Jordan miał życie wypełnione obficie, to też książka, która je przedstawia, przelewa się bogactwem wiadomości, uczy rozumieć ruchliwość tej średniowiecznej postaci i naśladować ogniste serce i płomiennego ducha, który w niem gorzał.

Les plus belles pages de Fénélon par Henri Bremond, de l'Académie Francaise. Paris, Flammarion, 1930 str. 279.

Autor „Obrony Fénélona" (Apologie pour Fénélon) był szczególnie powołany, by z bogatej spuścizny literackiej czołowego pisarza francuskiego wybrać kartki najbardziej znamienne dla jego ideologji i stylu. Oryginalność książki jest w tem, że

autor towarzyszy Fénélonowi w każdej rezydencji i z każdego dzieła stwarza epizod życia. Co więcej, z kunsztem sobie tylko właściwym naśladuje styl arcybiskupa kambrezyjskiego, a pomosty między jednym urywkiem a drugim są tak naturalne, iż robią wrażenie jednej całości, rzekłbym zwartej powieści.

Nietylko młodzież studjująca, ale wszyscy humaniści i literaci, czy z powołania, czy z upodobania z rozkoszą przeczytają to dziełko.

Saint-Augustin (Cahiers de la Nouvelle Journée 17). Raris, Blond 1930.

Jubileusz augustjański pobudził tysiące piór katolickich wszystkich krajów z pod których wyrosły studja, hołdy, tłumaczenia, rozprawy i artykuły w ilości nieoczekiwanej. Niezwykła ochota, z jaką wznowiono dyskusje, wszczęte przez Luminarza z Hippony w porównaniu do innych rocznic, które minęły bez echa, świadczą o płodności ustawicznie świeżej i niewyczerpanej, zamkniętej w dziełach augustjańskich. Rozwija tę uwagę świetny filozof Maurycy Blonedl. Zastanawia się poważnie nad tem, czy obok neotomizmu nie przyjmie się neoaugustynizm, wskrzeszony przez obchody i pisma jubileuszowe, życzy sobie tego i światu i wskazuje drogi nowemu prądowi, jak to uczynił przed nim historyk filozofji, très en vogue, Gilson. Inna rozprawka, pióra panny Comeau odtwarza z niewieścią subtelnością uczuciowość św. Augustyna, jej opóźnienie w porównaniu do nawrócenia umysłowego i stopniowe ujarzmienie niełatwego temperamentu pod brzemię powszechnej miłości. Inny współpracownik, Ch. Boyer, analizuje medytację nad brzegiem morza w Ostji i odkrywa w niej pierwiastki kontemplacji augustjańskiej. Dalsze wartościowe rozprawy napisali autorzy tacy jak J. Rimaud, J. Chaiks-Ruy, Henrico Castelli, J. Pange o Mistrzu życia wewnętrznego, o Czasie, o Zagadnieniu zła, o Państwie Bożem.

Une époque par Marcel Arland. Paris, Corréa 1930 st. 100.

Współczesnych pisarzy nęci ujęcie ducha czasu: w Polsce wyraził to w formie filozoficznej ksiądz Sawicki, we formie powieściowej Kossak-Szczucka. We Francji pisał na ten temat

Lucjan Romier p. t. „Explication de notre temps”, ostatnio zabrał się do tego zagadnienia Marcel Arland. Autor znanej książki „L'Ordre" bada, analizuje, rozdziera duszę swego wieku. Nie jest to zadanie łatwe: tyle przeciwnych sobie prądów krzyżuje się, tyle brzydoty i tyle wielkości, tyle niewiary i tyle czystych przekonań religijnych. Te nierówności i sprzeczności czyż nie świadczą dobitnie o zasadniczym braku równowagi człowieka? To wydaje się myślą przewodnią Marcela Arlanda. Załamanie się równowagi w człowieku pochodzi stąd, że istota ludzka miłując życie bez Boga, sama siebie już odnaleźć nie może. „Duch, w którym dokonano usunięcia Boga, pisze autor, gdzie zagadnienie Boga nie zajmuje żadnej czynności umysłowej, czemże zapełni próżnię powstałą w nim i którą utrzymuje zionącą potęga wieków oraz instynktów”? Dalej czytamy: „Nieobecność Boga jest Nonsensem wszelkiej moralności”. Niemniej odnosi się ta prawda do sztuki... To też może się człowiek rzucać, może się zająć czemkolwiek, wokół niego pozostanie tylko posmak nicości i tylko nicość będzie go otaczać. W sposób trochę schematyczny ale bardzo znamienny stwierdza Marcel Arland bankrunctwo prób literackich: Po tylu płochych żenglerstwach, chcemy też starać się o nasze przeznaczenie celem zdobycia oryginalności, po okresie ogzotytyzmu i literatury kinematograficznej, czyż nie nadeszła wreszcie chwila nowej prostoty i szczerości, która panowała w epokach, gdzie człowiek zastanawiał się nad własnym dramatem, nad pięcioraką niedolą swych pięciu zmysłów, z upajającą nędzą myśli i wzruszeń. Nie pragnę powrotu klasycyzmu, ale tęsknię pośród nieładu i zgiełku duchowego za nową harmonją”. Oto życzenie wyjęte z serca współczesnego pokolenia, co tęskni za prawdziwą istotą bytu i rozumu. Dość mamy już życia przed ekranem, na którym magicy przedstawiają grę niezrozumiałych i niemądrych cieni upiorzystych. My chcemy widzieć człowieka bez amputacji, w chwilach wielkości i w nędzy upadku, chcemy też starać się o nasze przeznaczenie.

Otóż, aby położyć kres temu szalonemu kultowi wszystkiego, co przypadkowe, przypadłościowe, znikome, jednostkowe, wyjątkowe, skandaliczne a co przepełnia naszą literaturę trzeba podnieść stanowisko rozumu, przywrócić mu utracone panowanie. Marcel Arland pisze w mocnych słowach „Rozum jest wa-

runkiem koniecznym dzieła sztuki; wszelka sztuka, która nim gardzi, minie bezpowrotnie". Tak, jak w dziele poprzedniem p. t. „L'Ordre" chwalono sens nawskroś ludzki autora i jego tężyżnę duchową, tak oba walory w nowem dziele doznały jeszcze większego rozwoju.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Żywy Różaniec ożywi życie duchowe. W czasach dzisiejszych nowoczesne pogaństwo zaczyna zuchwale głowę podnosić i wprost zagrażać Chrześcijaństwu.

Bolszewizm, socjalizm, komunizm, masonerja—są to tylko różne nazwy różnych organizacyj, ale wszystkie one mają jeden cel, jeden jakby sztandar, na którym niejako widnieje napis, który jest hasłem ich działalności: „Nie chcemy, by Ten nad nami królował"!

Pogaństwo czasów dzisiejszych nie chce, aby Chrystus królował w sercach ludzkich, w rodzinach i w społeczeństwach.

Przeciwko Chrystusowi, przeciwko zasadom Chrystusowym jawnie lub ukrycie występuje. Wobec tej walki pogaństwa z Chrześcijaństwem Ojciec św. podnosi głos swój ze Stolicy Piotrowej i wzywa cały świat chrześcijański do walki z pogaństwem, zachęca serdecznie do tworzenia jakby armji Chrystusowej—do Akcji Katolickiej.

Walka dopiero się zaczyna. Z pewnością rozgorzeje ona jeszcze więcej i dlatego to katolicy dobrzy i uświadomieni nie powinni obojętnie na to patrzeć.

Katolicy wszyscy powinni się organizować w różnych Stowarzyszeniach, które chcą pracować i walczyć pod sztandarami Chrystusowemi.

Z pośród wielu dobrych organizacyj jest jedną taka, która w Polsce obecnie wszędzie się rozwija i jeśli się tak rozszerzy, że większość ludzi dobrej woli będzie do niej należeć, to możemy mieć nadzieję, że w tej walce pogaństwa z Chrześcijaństwem zwycięstwo będzie po naszej stronie.

Organizacją tą jest znane wszystkim Stowarzyszenie Żywego Różańca.

Tak, jak niegdyś, przed wiekami, św. Dominik przez Różaniec świat odnowił, tak i w czasach dzisiejszych przez ten Żywy Różaniec świat odrodzi się i ożywi na duchu.

Trzeba tylko wszędzie, gdzie można, zaprowadzać to piękne i pożyteczne Stowarzyszenie Żywego Różańca.

Ponieważ żadne ze Stowarzyszeń nie jest tak łatwe do założenia i prowadzenia, jak Żywy Różaniec, przeto Stowarzyszenie Żywego Różańca powinno być wprowadzone nie tylko wśród starszych, ale i wśród młodzieży szkolnej, zarówno w szkołach powszechnych, jak i w gimnazjach, a nawet i wśród dzieci w ochronkach.

Forma zaś książeczkowa podług ks. Fr. Nowakowskiego *) sympatycznie i wdzięcznie jest przyjęta wszędzie nie tylko przez lud wiejski, ale i przez, inteligencję miejską, która dotąd nieco stroniła od Żywego Różańca właśnie z powodu dotychczasowych niepraktycznych, luźnych kartek zwykle wybrudzonych, podartych i tak jakoś niepoważnie wyglądających.

Obecny estetyczny wygląd i bardzo praktyczny format tych książeczek jako też i nowy uproszczony system zmiany Tajemnic każdego miesiąca—wiele się przyczyni do rozwinięcia Żywego Różańca.

Odtąd Żywy Różaniec może i powinien być rozszerzany nie tylko przez księży Proboszczów w parafjach, ale i przez księży Prefektów, Katechetów i Katechetki w szkołach i na różnych kursach.

---

*) „Żywy Różaniec"—ks. Fr. Nowakowskiego. Karnkowo, p. Lipno-Warszawskie.

Przy małym wysiłku pracy wszędzie można wprowadzić to wielkie i sympatyczne dzieło Boże, które pozornie jest małe w założeniu, a tak wielkie i owocne w skutkach.

Żywy Różaniec jest to wdzięczne pole pracy nie tylko dla księży, ale i dla Sióstr, Braci i Ojców różnych Zgromadzeń Zakonnych, którzy poświęcają się szczególniejszej czci Marji.

Właśnie przez Żywy Różaniec można się przyczynić tak wielce do rozszerzenia czci Marji.

Wszystkie dusze, prawdziwie Boga kochające, które chciałyby się przyczynić do ożywienia wśród ludzi życia duchowego zmartwoty duchowej, wszyscy, którzy nie chcą pozostać głuchymi na gorące werwanie Pasterzy do Akcji Katolickiej, do Apostolstwa świeckich — wszyscy mogą i powinni to uczynić, właśnie rozpoczynając od Żywego Różańca.

Jeśli źli ludzie—całe pogaństwo—tak pilnie organizują się w złych organizacjach, to dobrzy—całe Chrześcijaństwo—powinni łączyć się w dobrych organizacjach.

Przez Marję—Chrystus przyszedł na ten świat.

Przez Żywy Różaniec, przez to Stowarzyszenie Marji—przyjdzie i rozwinie się Akcja Katolicka.

Przez Akcję Katolicką zaś — życie Chrystusowe! *X. J. S.*

Dla dusz dążących do doskonałnści wydana została przez OO. Jezuitów w Krakowie książeczka **„U stóp ołtarza" sto nawiedzeń Najśw. Sakramentu.**

Pobożny ich autor tchnął w te króciutkie rozmowy duszy z Panem utajonym dużo szczerego uczucia. Dusza czytelnika z łatwością odrywa się od tego, co ją otacza i staje przed Panem upokorzona; wyznawa swoje przewinienia, prosi o oczyszczenie serca, by stać się mogła miłą przed oczyma Jego.

Z takich to nawiedzin wiele korzyści dla duszy płynie, Dusze czyste i gorąco miłujące Pana Jezusa przez swoje modlitwy i ofiary, za grzeszną ludzkość składane Panu, stają się jej obrońcami.

Rozpowszechniajmy wśród naszego otoczenia tak pożyteczne dziełka, za pomocą których urabiają się piękne dusze. *H. Br.*

Ks. Dr. Józef Umiński, Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza: Opinje o cnotach, świątobliwości i zasługach Stanisława Hozjusza. Str. VIII+24o in 8-vo. Z sześciu rycinami. Cena zł. 8.50.

Jest to praca ściśle naukowa, dzieło historyka-fachowca, może jednak zainteresować każdego, kochającego przeszłość naszą, inteligenta. Autor podaje w niej opinje świętych, papieży, kardynałów i innych znakomitości świeckich i kościelnych, polskich i obcych o Hozjuszu, wypowiedziane już to za życia, już po śmierci wielkiego kardynała. W świetle tych opinij występuje bardzo wydatnie ogrom duchowy Hozjusza, świątobliwość jego niezwykła i wpływy, które zarówno w kraju jak i zagranicą, czy to w dziedzinie naukowej, czy kościelnej wywierał. Poznajemy tu, że był Hozjusz postacią wyjątkową, dla Kościoła i kraju wprost opatrznościową, cenioną jednakowo wielce przez wszystkie narody, roznoszącą sławę imienia polskiego, po wszystkich krańcach Europy. Dlatego właśnie winien przestudjować książkę tę każdy nietylko duchowny, ale i laik, któremu sprawy wiary i polskości są drogie. Kończy dzieło sześć ciekawych rycin, ilustrujących życie Hozjusza, a będących reprodukcją sztychów, dokonanych wkrótce zaraz po jego śmierci.

Napoleon III. Pod wieczór życia wydał wileński pisarz z dziedziny historji i literatury, profesor Marjan Zdziechowski, monografję o Napoleonie III.

Autor chciał niejako sięgnąć do wspomnień młodości, która przypadała na czas panowania Napoleona III i dać współczesnym obraz nastrojów i uczuć, które ożywiały pokolenie, którego uczony profesor jest może ostatnim heroldem. Stąd ta sympatja do przedmiotu rozprawy, stąd ten polot niezwykły języka, stąd też może niejedna ocena zbyt korzystna, bo zabarwiona osobistem upodobaniem do nieszczęśliwego cesarza, stąd też

tak zajmująca a pouczająca lektura tego dzieła, które zawiera serdeczny testament pisarza, złożony w ręce wdzięcznych czytelników.

Katolikom przypomina smutne dui (1860 r.) zajęcia Rzymu przez Piemontczyków, które nawet wśród liberałów nazywano aktem zbójeckim. Triumwiratowi — Wiktor Emanuel, Cavour, Garibaldi — przeciwstawił się był Napoleon III, który proponował konfederację państw włoskich pod honorowem przewodnictwem papieża.

Cesarz nie dokonał decydującego kroku, stal się więc przedmiotem nienawiści wszystkich nawet katolików. Zasmucony pisał więc w liście do Piusa IX z dn. 8 stycznia 1861 r. te słowa:[1]) „Przedstawiają mnie jako wroga Stolicy Świętej, podszczuwają przeciw osobie mojej duchowieństwo francuskie, żądano nawet od arcybiskupa paryskiego, aby zrzekł się godności naczelnego kapelana cesarskiego (grand aumonier)". Zapewniał dalej, że zawsze pozostanie niezłomnie oddanym papieżowi, zostawi swe wojsko dla obrony papieża, ale prosi o zrozumienie jego nieszczęsnego położenia politycznego wobec trwającego sojuszu z Włochami.

Podczas, gdy cesarz usprawiedliwiał się wobec papieża listownie, książę Napoleon kreślił na mapie projekt podziału Rzymu na dzielnicę papieską i dzielnicę królewską. Tybr miał atanowić granicę, prawy brzeg oczywiście, przypaść miał Następcy św. Piotra. Był to projekt, który naówczas wyśmiano, dziś zgodzono się na mniejszy skrawek pod nazwą Cità del Vaticano, w dodatku uważano to jeszcze za niemały sukces dyplomacji papieskiej.

Pozostawienie załogi ochronnej w Rzymie—Francja ostatecznie okupiła Alzacją i Lotaryną, gdyż otoczenie Wiktora Emanuela parło Prusy do wojny z Francją. Dziś znowu Alzacja i Lotaryngja w nagrodę za to, że za wierność dla papieża odcięta została przez pięćdziesiąt lat od.macierzy, cieszy się dobrodziejstwami konkordatu, państwowym wydziałem teologicznym w Strasburgu i jest tą dzielnicą Francji, która najczystszy wyznaje katolicyzm.

Warto jeszcze zapamiętać szlachetne zainteresowanie losami Polski około r. 1861 wśród katolików francuskich, których rzecznikiem był hr. Montalembert,[2]) uczucia te wyrażone zostały w pełnej serca książce jego. Inaczej ustosunkowali się do cierpiącej Polski radykałowie. Historja się powtarza: i dziś sympatje mamy we Francji wśród katolików, a zaciekłych wrogów wśród stronnictw liberalnych. Poprzednio już Voltaire winszował Katarzynie rozbioru Polski, to też wolterjanie zawsze zwalczali Polskę, podczas gdy stronnictwa katolickie zawsze popierały naszą sprawę. Znowu uczą nas wypadki. jak przyjemnem jest oparcie, o Kościół Katolicki, tę potężną, zwartą organizację, opartą na wspólnych, wiecznych interesach.

Czasy Napoleona były świadkiem nowej fali walki z Bogiem. Republikanie zrozumieli, że nie na Kościół iść należy, nie na to lub owo wyznanie, ale na samą ideę Boga. Myśl ta, do urzeczywistnienia której zabrał się z krwiożerczą energją rosyjski bolszewizm, powstała na podłożu rosyjskiej prostolinijności; pierwszy, czy jeden z pierwszych, począł ją z niesłychanym zapałem apostołować Bakunin: zacznijmy od wyplenienia Boga z serca człowieka, a wszystko inne przyjdzie z łatwością. „Bądźcie wpierw ateuszami, a potem stańcie się rewolucjonistami" — nauczał w r. 1868 niejaki Jaclard, przyszły członek komuny. „W słowach tych — pisze de la Gorce — zawi rał się program: przez wyłom radykalizmu antyreligijnego wkraczał radykalizm polityczny" (str. 142 i 143).

Reformy liberalne Napoleona III z r. 1868 ułatwiły rozwój organizacyj o niszczycielskich skutkach w dziedzinie religji i moralności. Poprzednio powstały były w 1865 — Międzynarodowe stowarzyszenie wolnomyślicieli, rok później — 1866 — Liga wychowania i Nauczania, założona przez Jana Macé. Z tych dwóch zatrutych źródeł sączył się jad zabójczy na całą Fran-

---

[1]) Zdziechowski — Napoleon III. str. 57.

cję. Duchownymi przywódcami tego ruchu byli Renan i Taine. Po stronie katolickiej bronił tradycji chrześcijańskiej gorąco biskup Dupanloup z Orleanu, który przeciw wspomnianym pisarzom ogłosił pismo p. t. Ateizm i niebezpieczeństwo społeczne. Nawet niekatolicy jak Guizot i Cousin z przerażeniem patrzeli na potęgujący się ruch wywrotowy, zagrażający Kościołowi i państwu.

Biografja jest rehabilitacją Napoleona III, którego przedstawia się najczęściej w sensie ujemnym. Był to tymczasem mąż, który wyprzedzał umysłowość spółczesnych sobie o wiele. Dążył do uwolnienia ludzkości od zmory wojny, głosił hasło samostanowienia narodów, przyczynił się do zespolenia Włoch, pragnął niepodległości Polski, ekspedycja meksykańska miała Stanom Zjednoczonym Północnej Ameryki zagrodzić drogę do kultu złotego cielca, który dziś staje się rzeczywistością.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest Napoleonidowi, synowi cesarza duszy wzniosłej i rycerskiej. Najlepiej charakteryzuje go chyba modlitwa własnego układu, którą odmawiał codziennie. Prosił w niej o łaskę wiary, która w modlitwę wlewa żar i daje siłę do spełnienia powinności, — o tę mądrość, która zawsze, w chwili każdej, wskazać może, co jest powinnością. Pozatem dla siebie niczego nie żądał. Natomiast błagał o szczęście dla tych, których kocha więcej, dużo więcej, niż samego siebie, a którzy cierpią. „Dla siebie szczęścia nie pragnę: uciekam od niego. Usuń je Boże z drogi mojej, albowiem szczęście i radość znaleźć bym mógł tylko w zapomnieniu przeszłości, a jakże mogę chcieć zapomnieć o tych, których już niema! Wzmocnij, Boże, serce moje przeświadczeniem, że ci, których kocham i którzy już zmarli, są świadkami wszystkich czynów moich; niech życie moje godne będzie tego, aby patrzyli na nie stamtąd". (str, 238).

Przeczytałem książkę o Napoleonie po nowej książce Foerstera p. t. Religja a kształcenie charakteru. Uderzyło mię odrazu podobieństwo między obu autorami: obaj są miłośnikami pokoju, obaj mają przekonania nawskroś chrześcijańskie, jeżeli nie katolickie, obaj są uczonymi o europejskim pokroju, wnikliwi obserwatorzy życia duchowego z tą tylko odmianą, że jeden więcej skierował swe badania ku przeszłości literacko-politycznej, drugi obraca się raczej w sferze analizy życia współczesnego. Obaj dużo dobrego zdziałali swemi pismami. Niech im Bóg Łaskawy użyczy za to tego przywileju, by długo mogli spoglądać na bogaty plon znojnego żywota.

Ks. Dr. St. A.

Kwietniowy numer miesięcznika „Ateneum Kapłańskie" (Włocławek, Semin. Duch.) przynosi dokończenie analizy pracy Ks. Siwka o Teresie Neuman p. t. „Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenie"; nadto dokończenie artykułu Ks. Dr. Wyrobisza o „Przestępstwach przeciwko prawom familijnym według Kodeksu Prawa Kan".

Ks. Dr. W. Wicher pisze o „Etycznych granicach sportu". W dziale spraw pasterskich znajdujemy bardzo ciekawe zestawienie zagadnień poruszanych w ostatnich listach pasterskich Biskupów polskich p. t. „Wskazania biskupów katolickich w Polsce na chwile najbliższe". Ks. E. Krauze pisze o „Organizacji katechizacji dzieci". Również kilka uwag na czasie o znaczeniu egzaminu przedślubnego w dobie zamachów na małżeństwo katolickie.

W sprawach z życia religijno-kościelnego Ks. Dr. S. Wyszyński podaje kilka spostrzeżeń o „stosunku katolików włoskich i polskich do swych uniwersytetów katolickich". O. Pirożyński omawia „Niższe seminarjum diecezjalne i zakonne w Polsce". Pamięci Ks. Biskupa Bandurskiego kilka uwag poświęca Ks. B. M. W przeglądzie naukowym Ks. Stefan Wilk przypomina działalność naukową zmarłych niedawno uczonych katolickich: O. Gardeil'a i L. Billota. Wśród ocenionych książek znajdujemy prace

---

[2]) On to wyrzekł pamiętne słowa: „Od chwili rozbioru Polski jest Europa w stanie grzechu ciężkiego".